

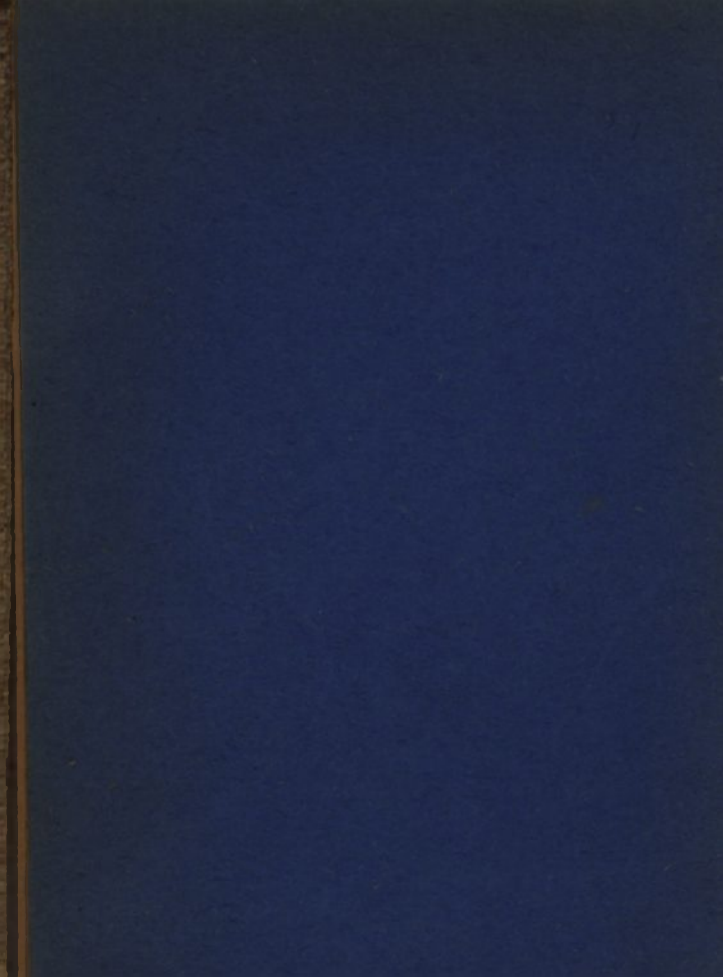
ARKADYJ AWIERCZENKO 161

HUMORESKI

Z ORYGINAŁU ROSYJSKIEGO
PRZETŁÓMACZYŁ DR M. Ś.

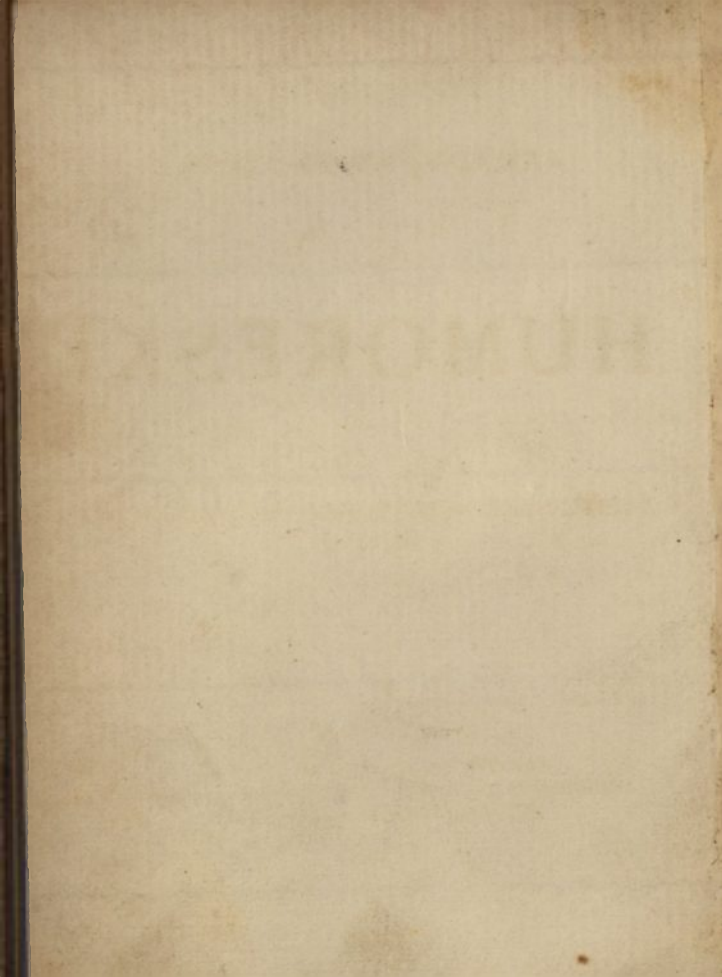


KRAKÓW. G. GEBETHNER I SP.
1914.



Inezye!

HUMORESKI.



ARKADYJ AWIERCZENKO

HUMORESKI

L 1610

Z ORYGINAŁU ROSYJSKIEGO PRZETŁÓMACZYŁ

Dr. M. S.

KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA.
CZCIONKAMI DRUKARNI LITERACKIEJ W KRAKOWIE,
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.

1914.

Skull

YT

34932

A-18149



1000173367

Liberat. 1310

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

K.1160/56/3534

PIĘKNA KOBIEȚA.



Przechadzając się po lesie, urzędnik Plumażew doszedł nad brzeg rzeki i stanawszy, począł bezmyślnie wodzić wzrokiem po cichej, lustrzanej powierzchni wody.

Krótkowzroczne oczy urzędnika Plumażewa zawadziły o drugi brzeg, przeszły na małą, żółtą budkę do rozbierania się i utknęły na jakiejś postaci, stojącej po kolana w wodzie i oblewającej siebie garściami głowę, przybraną w zielony czepeczek.

— Kobieta! — pomyślał Plumażew i przy-mrużył oczy tak, że stały się podobnemi do wąziutkich szpareczek. — Jak mi Bóg miły, kobieta! I zdaje się młoda!

Chude, stare kolana zadrżały, a po grzbiecie przebiegł mu drobniutki dreszczyk.

— Eh! — zamruczał Plumażew. — Przeklęta ta moja krótkowzroczność!... A jakie głupie z mojej strony niedbalstwo nie brać ze sobą lornetki.

Przetarł oczy i westchnął.

— Widzę coś białego, coś pasiastego, ale co... ani daj Boże rozróżnić! Aha! O, tam jakaś odsypka piasku wystaje z wody. Sięde ja sobie pod krzakiem i poczekam, a może ona podpłytnie bliżej. He, he!

Podskakując, dobrał się do spostrzeżonego wzniesienia, rozgarnął drżącemi rękami gęste krzaki, poza którymi na tle zieleni dostrzegł nieruchomą czapkę uniformową ucznia gimnazjalnego, przedłużeniem której był mundurek i spodnie.

— Szelma! Przyszykował się! — Z zawiścią westchnął Plumażew i równocześnie spostrzegł, że student trzyma w ręce kurczowo czarną lornetkę, skierowaną na przeciwległy brzeg rzeki.

Gimnazista zwrócił się i po przyjacielsku skinąwszy Plumażewowi, uśmiechnął się i rzekł:

— A i pan także?!

— Podła dusza! Jeszcze z konfidencją do mnie! — pomyślał Plumażew i byłby go z ochotą nabił, ale przez wzgląd na lornetkę siadł przy nim na trawie i po przyjacielsku uśmiechając się, powiedział:

— He! He! Ciekawe? Co?

— Ładna! — Odpowiedział student. — Co za biodra... Kolana też wspaniałe, białe! Słowo honoru!

— A piersi? Co? Piersi? — Drżącymi usty szepcząc dopytywał się Pliumażew.

— Prześliczne piersi. Niezaduzę, ale widocznie sprężyste!

— Sprężyste?

Pliumażew oblizał językiem zeschnięte wargi i nieśmiało zapytał:

— Nie byłby pan łaskaw.. pozwolić mi lornetki... na minutkę..

Gimnazista, nie odejmując lornetki od oczów, przecząco potrząsnął głową.

— O nie, wujaszku! Nic z tego. Trzeba było sobie przynieść swoją.

Pliumażew wyciągnął drżącą rękę.

— Daj pan... na chwilkę!

— Nie, nie dam. Niedarmom ja lornetkę ciotce z komody zwędził! Ciekawym, czybyś mi pan pożyczył, gdyby tak to była pańska lornetka?

— Ależ dawaj pan!

— Niech mi pan nie przeszkadza! Oho! ho! Patrzajcie no!

Gimnazysta podał się ku przodowi i tak przycisnął lornetkę do oczów, że poprostu czaszce jego groziło niebezpieczeństwo.

— O! O! Obróciła się grzbietem.. Coż za plecy! Nie przypuszczałem, że takie może mieć krzyże.

Leżąc obok Plinmażew z udaną obojętnością odwrócił się, ale wargi mu się trzęsły z doznanego lekceważenia i ze złości.

— Właściwie — zaczął zmienionym, chrapliwym głosem — kiedy już do tego przyszło, to pan nie masz prawa podglądać kąpiących się. To jest nieprzyzwoite.

— A panieś chciał odemnie pożyczyć lornetki! Też! Panu wolno a mnie nie?!

Plinmażew zamilkł.

— Jak mi się spodoba — to odbiorę panu lornetkę i jeszcze pana nabiję. Przecieżem silniejszy...

— Oho! Spróbójno pan... Ja będę tak wrzeszczał, że się tu zlecą wszyscy letnicy. Cóż? Mnie to nic, bo ja dzieciak — najwyżej dostanę za uszy, a dla pana co to będzie za wstyd na całe lato! Z pana nibyto człowiek stateczny, stary już, a powiedzą: „Że go też takie głup-

stwa zajmują?“ Teraz się znowu zwróciła przodem. Brzuch ma... chce pan, to panu będę opowiadała, wszystko co zobaczę?

— Idź do wszystkich dyabłów!

— Sam pan tam idź! — Obojętnie odpowiedział student.

— Grubian...!

— Właśnie od takiego to słyszę!

Pliumażew zgrzytnął zębami i postanowił, odplaciwszy się smarkaczowi daniem po karku, iść zaraz do domu, ale zamiast tego przełknął ślinę, a obróciwszy się do gimnazysty z udanym spokojem rzekł:

— Zadzierzysty z pana kawaler... Wie pan co, drogi panie... jeżeli mi pan nie chcesz pożyczyć na chwilę lornetki, to mi ją pan sprzedaj!

— Tak... Sprzedaj!... A ciotka co? Pokazałyby mi ona, jak się to cudze lornetki sprzedaje!?

— Mnie się zdaje, kawalerze — ciągnął dalej interes zgodliwie Pliumażew, — że ciotuchna pańska nawet pana o to nie posądzi! Wobec terazniejszej złodziejskiej służby!... Ja panu natychmiast całą kwotę... Cóż?

Twarz gimnazysty stała się areną dwóch wręcz przeciwnych uczuć. Zamyślił się.

— Hm... No... a ileż mi pan da?

— Trzy ruble.

— Trzy ruble? A możeby pan tak jeszcze pół rubla dołożył. Lornetka kosztuje w sklepie 8 rubli.

Gimnazysta wzruszył ramionami z pogardą i począł dalej patrzeć na przeciwległy brzeg.

— No więc cóż? Pięć rubli... bierzesz pan?

— Daj pan dziesięć!

— To już świństwo! Sam pan mówisz, że nowa kosztuje ośm rubli, a odemnie chcesz pan dziesięć? Żyła!

— Bardzo mało żądam! Nieraz wartoby dać dwanaście... Ot, teraz pochyliła się piersiami. Najlepiej widać, jak się zwraca tyłem... Przeszła na suche miejsce i widać nogi. Łydki, kostki, dodam, godne widzenia!

Dotychczas gimnazysta zachwycał się bezinteresownie, obecnie czynił to w zamysłach handlowych, więc zachwyty jego zdwoił się.

— Eh? Cóż to ona tam ma? Dołeczki na łokciach... Szczególne! A jakiej białości ręce?! Łokcie śliczne!! I w zgięciach dołeczki!

— Kawalerze! — ochryplym głosem przerwał mu Plumażew. — Dam panu ośm rubli!

— Dziesięć!

— Nie mam tyle przy sobie... Oto pulares... Jest ośm rubli i dwadzieścia kopiejek. Bierz pan... nawet z pularesem. Pulares nowy, wart trzy ruble.

— Tak, nowy wart, ale stary? Cóż może wartać? Pół rubla!?

Plumażew chciał stwierdzić, że gimnazista sam przecież wydusza za starą lornetkę podwójną cenę, ale bał się, aby chłopaka nie obrazić.

— Oho! Stała tyłem i pochyliła się! Cóż to? A, rzeczywiście zaczyna zdejmować kąpielowy kostyum i...

— Słuchaj pan! — głosem złamanym ze wzruszenia skrzeczał Plumażew. — Dam panu oprócz ośmiu rubli z pularesem, jeszcze scyzoryk i nieprzyzwoitą pocztówkę!

— Ostry?

— Ostry! Ostry! Wczoraj go kupiłem!

— A papierosy pan ma?

— Mam, mam. Może pan zapali?

— Nie, wszystkie mi pan da. Ah! Papierośnica skórkowa... Zgoda więc. Papierośnica z pa-

pierosami, scyzoryk, pocztówka i pulares z pieniądźmi moje — gdy panu dam lornetkę?!

Pliumażew miał ogromną ochotę nakłąć przemysłowemu młodzieńcowi, ale zamiast tego tylko rzekł:

— Dobrze! Zgodził... Tylko proszę o kilka papierosów na drogę.

— Także czegoś? Wszystkiego jest ich sześć... Nie chcesz pan, to się obejdzie.

— No!... No!... Bierz już pan... Proszę... Rachuj pan: Ośm rubli, dwadzieścia kopiejek. Scyzoryk... Ale, słuchajno pan, czy ona nie odeszła tymczasem?

— Stoi w całej swej piękności. Teraz bokiem. Masz pan. Patrz!...

Gimnazista zabrał wszystkie swoje skarby, wesoło zagwizdał i żartobliwie uszczypnął Pliumażewa w łydkę, biegnąc w leśną gąszcz.

Pliumażew lubieżnie się uśmiechnął, wczepił się oczami w lornetkę i zapatrzył się.

Na piaszczystej wydmie przed budką kąpielową w pasiastym kostymie kąpielowym stała jego żona Marya Pawłowna i podniósłszy ręce na głowę, poprawiała czepek.

W oczach Pliumażewa poczerwieniał świat.

On sam coś zamruczał, w pasyi zamachnął się i rznął zbyteczną lornetką, o wodę.

Do mostu, poza którym znajdowało się jego letnie mieszkanie, trzeba było iść przeszło trzy wiorsty...

Nogi go bolały i uginały się, okropnie mu się chciało palić, ale — papierosa nie było.



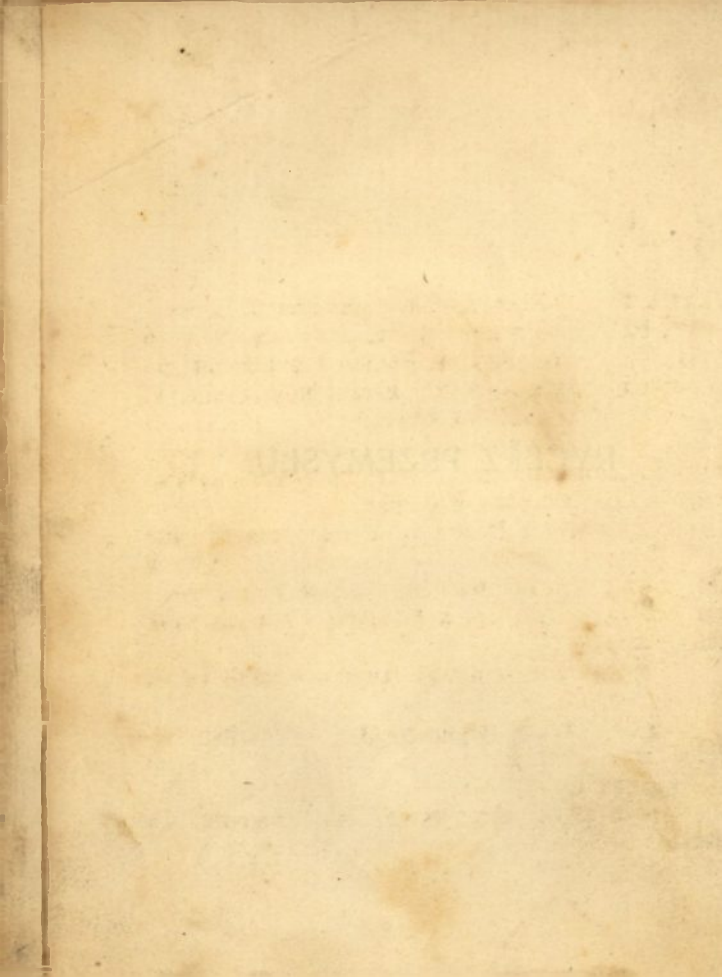
18 - 11
The first of the two parts of the
book is devoted to the study of the

the most important features of the
the history of the people of the

the history of the people of the
the history of the people of the



RYCERZ PRZEMYSŁU.





Pierwszą moją znajomość zrobiłem z nim wtedy, gdy leciał z okna drugiego piętra przed oknem pierwszego piętra, gdzie mieszkałem — i upadł na ulicę.

Wyjrzałem z mojego okna i ze współczuciem spytałem nieznanego, nacierającego sobie uszkodzony grzbiet.

— Możebym mógł się panu czem przysłużyć?

— Dlaczego by nie? — Dobrodusznie kiwnął mi głową a równocześnie zuchwale pogroził palcem do okna drugiego piętra. Z pewnością może pan.

— Zajdź pan tedy do mnie — rzekłem odchodząc od okna.

Wszedł, wesóły, uśmiechnięty. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Cackin.

— Bardzo mi przyjemnie. Nie uszkodził się pan?

— Prawdę mówiąc, to — nie!... Najczystszej wody drobiazg!

— Z pewnością z powodu jakiejś przepięknej kobiety? — Spytałem, mrużąc oko. — Co? Nie?

— He! He! Pan na pewniaka amator tych osóbek? He! He! Nie życzyłby sobie pan... mogę przedstawić seryę ciekawych pocztówek? Niemiecki żanr! Znający się na tych rzeczach uważają go za wyższy od francuskiego.

— Nie, skądże — zdziwiony odpowiedziałem, przyglądając się mu. — Słuchajno pan... Pańska twarz zdaje mi się być znajomą. Czy to nie pana wczoraj jakiś jegomość zepchnął z tramwaju?

— Nigdy w świecie! To było przedwczoraj. Wczoraj mnie spuścili z tylnych schodów na waszej tu ulicy. Ale, prawdę powiedziawszy, to co to za schody takie? Jakies siedm parszywych stopni.

Spostrzegłszy moją niewyraźną minę, pan Cackin stropił się i rzekł usprawiedliwiająco:

— Wszystko za to, że chciałem im życie zasekurować. Taki to już naród. Ja się kłopotczę o ich życie, a oni pracują na moją śmierć.

— To pan jesteś agentem asekuracyjnym na życie? — sucho powiedziałem. — Czemże ja panu mogę służyć?

— Pan może mi być użytecznym przez jedną malusieńką odpowiedź na zapytanie: „Jak pan sobie życzy być u nas zabezpieczonym: na dożycie, czy na wypłacenie premii pańskim bliskim po — daj panu Boże zdrowie — pańskiej śmierci?“

— Nijak nie życzę sobie być ubezpieczonym — odrzekłem, trzęsąc głową. — Ani na dożycie, ani na to drugie, a bliskich nie mam... Jestem samotny.

— A żona?

— Jestem niezona.

— Trzeba się żenić — to proste! Mogę pana zapoznać z panią — palce lizać! Dwa-dziesiąt tysięcy posagu, ojciec ma dwa sklepy! Choć tam brata ma szarlatana, ale ona śliczna bruneteczka, że to do zadziwienia. Jutro ma pan czas? Moglibyśmy jutro pojechać popatrzeć. Surdut, biała kamizelka... Jak pan nie ma, to można kupić gotowe. Adres: magazyn „Obrót“... Nasza firma..

— Panie Cackin — przerwałem mu. — Bo-

giem się świadczę, że nie chcę, nie mogę się żenić! Ja się wogóle nie nadaję do życia rodzinnego...

— Oj! Oj! Nie nadaję się? Dlaczego? Może pan — dotychczas za szeroko żył? Jeżeli o to chodzi, to nie bój się pan... To bagatelka do naprawienia. Mogę panu dostarczyć środka, który przynosi ze sobą radość każdemu melancholicznemu mężczyźnie. Sześć tysięcy książek o tem bezpłatnie rozdano! Masy całe podziękowań! Flakonik próbny...

— Schowaj pan dla siebie próbne flakoniki — rzekłem podrażniony. — Mnie one niepotrzebne. Nie mam takiej urody, któraby mogła wzbudzić miłość. Łysina na głowie porządna, nszy mam odstające, zmarszczki, wzrost mały...

— A cóż to łysina? Potrzebuje pan ją tylko posmarować środkiem, który ja panu zalecę, a zarosnie pan włosami, jak nieprzymierzając kokosowy orzech! A zmarszczki? Uszy? Użyje pan naszego aparatu, który się wdziewa na noc... a wszelakie uszy, jak ręką odjął! — Wzrost? Nasz aparat do gimnastyki działa w ten sposób, że co sześć miesięcy przy jego użyciu przybywa człowieka na wysokość o dwa cale. Po dwóch

latach będzie się pan już mógł żenić, a po pięciu będzie można pana pokazywać za oplatą! A pan mi mówisz o — wzroście!

— Ja niczego nie potrzebuję — rzekłem, marszcząc brwi. — Wybacz pan, ale pan mi działasz na nerwy!...

— Na nerwy? I nic pan nie mówi! Patentowane, chłodne tusze mamy do rozkładania i składowania! Mamy z kranem i także z rozpylaczem. Panu, jako człowiekowi inteligentnemu i bardzo dla mnie sympatycznemu, mogę doradzić wziąć najlepiej z rozpylaczem. Droższy wprawdzie, ale...

Chwyciłem się za głowę.

— Czego się pan chwyta za głowę? Czy pana boli głowa? Proszę tylko powiedzieć, ile pan sobie życzy tub naszej pasty „Migrenin“, a firma już sama panu odstawi do domu.

— Wybacz pan — rzekłem, przygryzając wargi — ale proszę mnie opuścić. Nie mam czasu. Jestem zmęczony, a czeka mnie jeszcze uciążliwa praca, muszę pisać artykuł...

— Uciążliwa? — współczująco zapytał pan Cackin. — Ja panu powiem, że ona uciążliwa dlatego, że pan dotąd jeszcze nie nabył nasze-

go rozsuwalnego pulpitu do czytania i pisania! Normalna pozycja, dokładne według życzenia pochylenie... Za dwie sztuki 7 rubli a za trzy 10..

— Wynoś się pan! — wrzasnąłem, trzęsąc się z irytacji, — ja ci łeb roztrzaskam tym oto przyciskiem do papierów!

— Tym przyciskiem? — pogardliwie mówił Cackin, dotykając palcami przycisk, leżący na biurku. Tym przyciskiem... Dmuchnij pan na niego, a podleci! Gdyby pan chciał rzeczywiście mieć ciężki przycisk, to mogę panu dostarczyć cały garnitur malachitowy...

Nacisnąłem ruzik elektrycznego dzwonka.

— Zaraz tu przyjdzie służący, któremu każę pana wyprowadzić!

Smutnie pochyliwszy głowę, siedział i milczał pan Cackin, jakby oczekując spełnienia mojej obietnicy. Przeszło ze dwie minuty. Zadzwoń-łem jeszcze.

— Dobrze dzwonki, niema co mówić — pokiwał głową pan Cackin. — Jak można mieć takie ohydne dzwonki, które nie dzwonią. Pozwoli sobie pan dostarczyć dzwonka z zaprowadzeniem i z elementami za 7 rubli 60 kopiejek. Eleganckie tastry...

Zerwałem się, chwyciłem pana Cackina za rękaw i popchnąłem go ku drzwiom.

— Wychodź pan! Inaczej nastąpi u mnie pęknięcie serca.

— Nie daj Boże tego, ale może pan być spokojny! Już my pana bardzo przyzwolicie pochowamy według drugiej klasy. Wprawdzie nie będzie takiej parady, jak według pierwszej klasy, ale katafalk...

Zatrzasnąłem drzwi za panem Cackinem, przekręciłem klucz w zamku — i powróciłem do biurka.

W minutę potem spostrzegłem, że klamka u drzwi się poruszyła, drzwi drgnęły od powolnego nacisku i rozwarły się.

Pan Cackin nieśmiało wszedł do pokoju i u przejmie rzekł:

— Co do ostatniego przypadku, to mogę pana zapewnić, że zamek przy pańskich drzwiach jest nieodpowiedni. Otwiera się od zwykłego nacisku! Dobry zamek angielski może pan dostać za moim pośrednictwem, po 2 ruble 40 kop. za sztukę. Za trzy sztuki rubli 6 kop. 50, a za pięć...

Wyjąłem ze szufladki biurka rewolwer — a zgrzytnąwszy zębami, krzyknąłem:

— W tej chwili pana zastrzelę!

Pan Cackin w pełni zadowolenia uśmiechnął się i odrzekł:

— Bardzo mnie to cieszy, bo dam panu sposobność przekonania się o doskonałości pancerza, który na sobie noszę na pokaz, a który mogę panu dostarczyć. Sztuka ośmnaście rubli, dwie — taniej, a trzy — jeszcze taniej. Proszę się przekonać!...

Odłożyłem rewolwer a chwyciwszy pana Cackina w pół, rycząc z wściekłości, wyrzuciłem go oknem.

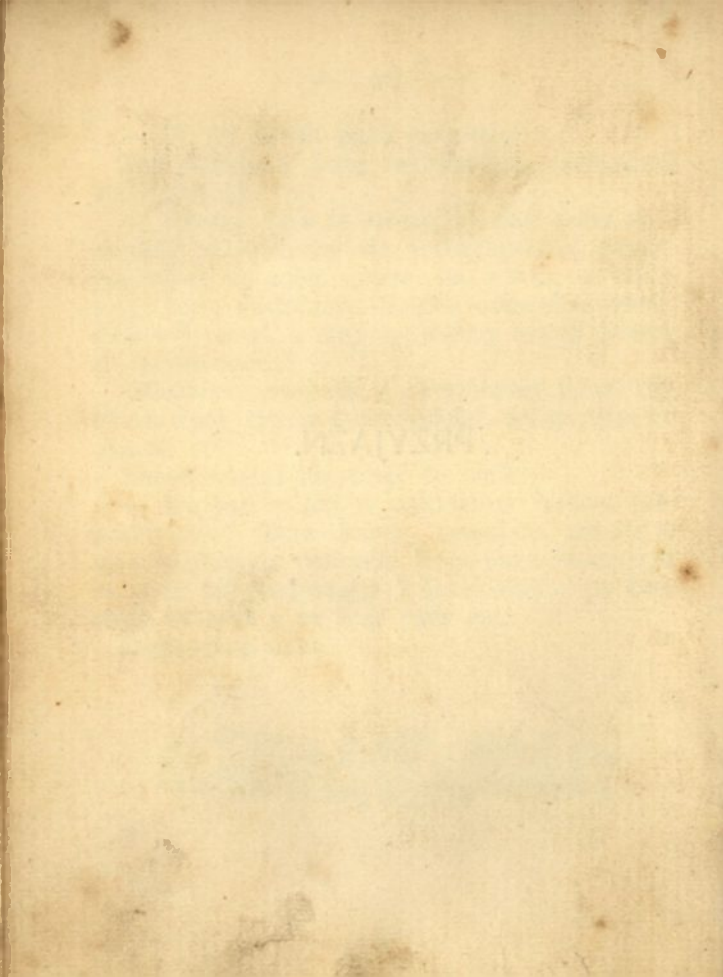
Lecąc, zdążył krzyknąć do mnie:

— Ma pan spinki u mankietów wysoce niepraktyczne! Ostre kanty, targające suknie a mnie skaleczyły policzek. Mogę panu dostarczyć ze złota afrykańskiego z inkrustacją po dwa ruble za parę a za trzy pary czt...

Zamknąłem okno.



PRZYJAŹŃ.





Kokoszkin wyjeżdżając, rzekł do żony:

— Ja jutro wrócę, Muroczko. Ponieważ ty dzisiaj wybierasz się do teatru, to zamiast mnie towarzyszyć ci będzie mój przyjaciel Bułtyryn. Wprawdzie jest on ograniczony i przykry w życiu, ale przywiązany do mnie i będzie ci usłużny. Jak wrócicie do domu, to możesz mu kazać posłać w moim gabinecie, żeby ci nie było nieswojo i żebyś się nie bała.

— Mnie i bez tego nie będzie nieswojo i nie boję się.

— No, mimo to, zawsze przecież bezpieczniej jak mężczyzna w domu.

A kiedy nadjechał Bułtyryn, Kokoszkin wziął go na bok i rzekł:

— Mój przyjacielu! Zostawiam żonę pod twoją opieką. Bądź już łaskaw mieć nad nią dozór. Powiem ci otwarcie, że nie lubię jak różni młodzi nicponie, gdy się tylko odwrócę, wyrastają jak z pod ziemi naokoło niej. Przy tobie,

to już mogę być pewnym, że nie ośmiela się szeptać jej jakichś idyotyzmów.

— Kokoszkini! — odpowiedział mu na to poważnie z miną nie znoścą powątpiewania Bułtyryn. — Licz na mnie. Jak wiesz, to moje życie rodzinne złożyło się okropnie. Przecież to moja rodzona żona uciekła odemnie z jakimś pogardy godnym młokosem! To twarde doświadczenie nauczyło mnie i już mnie teraz na nic nie weźmie!

Obrzucił ponurem spojrzeniem siedzącą przy fortepianie Muroczkę i milcząco potrząsł w dużo obiecujący sposób ścisnącą rękę Kokoszkina.

Kokoszkini odjechał.

Ubrawszy się, stała Muroczka przy toalecie i przypinała kapelusz, a spoglądając na wodzącego po niej okiem niespokojnym Bułtyryna, zapytała go:

— O czymżeście wy tam szeptali z Georgiem?

— Taak w ogóle. Prosił mnie, abym pani ani na chwilę nie opuszczała.

— Dlaczegoż to? — zdziwiona pytała Muroczka.

Bułtyryn w roztargnieniu wsadził głęboko

w usta nóż do rozcinania kartek i zamyśliwszy się, odpowiedział:

— Przypuszczam, że on się boi, czy przypadkiem nie ma pani kochanka?

— Słuchajno pan — oburzyła się Muroczka — jeżeli pan nie potrafisz być choćby elementarnie grzecznym, to ja pana natychmiast od siebie wyproszę, a do teatru pojedę sama.

— Hu! — pomyślał sobie Bułtyryn — chytraś ty okropnie. Mnie byś rada wygnać, a sama do kochanka pojechać. Znamy się na tem!

A głośno powiedział:

— To przecież on tak powiedział a nie ja. Ja wiem, że może pani nie masz wcale kochanka.

Mówiąc tak, chciał pochlebić cnotliwości Muroczki, ale Muroczka zasepiła się obrażona i siadła do doróżki zła i milcząca.

Bułtyryn był najzwyczajniejszy niedźwiedź. Do powozu wsiadł, zajmąwszy swoją personą trzy czwarte miejsca, a gdy w drodze spotkał ich znajomy Muroczki i witał się z nią serdecznie, to sumienny Bułtyryn obrócił się nieznacznie za nim i pogroził mu pięścią.

Znajomy pan, zdumiony tem, co zobaczył, stał

długo w miejscu i patrzył, nie pojmując, coby to znaczyło, za tą dziwną parą.

Gdy weszli do westibulu teatru, Bułtyryn zdjął z Muroczki żakiet, obejrzał się naokoło i ponuro rzekł, chwyciwszy ją za rękę:

— No, idziemy już.

— Poczekajno pan. Gdzie mnie pan ciągniesz? Puść mi pan rękę! Któż bierze za dłoń?!

— A jakże mam brać?

— Weź mnie pan tak oto, pod ramię... I porzuc pan z łaski swojej to niestosowne postępowanie. W przeciwnym razie natychmiast pana opuszczę!

Bułtyryn gwałtownym ruchem czepił się ramienia Muroczki i pomyślał:

— Kłamiesz! Nie uciekniesz uiegodziwa! A już wymyślać mi możesz, ile ci się podoba!

Gdy zajęli miejsca, Muroczka wzięła lornetkę i zaczęła rozpatrywać się po siedzących w lożach.

Przebiegły Bułtyryn poprosił ją o lornetkę na chwilę i zrobiwszy taką minę, jakby się przypatrywał kurtynie, pomaleńku wykręcił śrubkę z przodu lornetki, poczem obojętnie wręczył lornetkę Muroczce.

— Możesz sobie teraz patrzeć — pomyślał i w duchu tryumfująco się uśmiechnął.

Muroczka długo kręciła i kręciła lornetkę naprzód i wtył, poczem zmartwiona rzekła:

— Nie pojmuję! Co dopiero była dobra, a teraz ani tak, ani owak.

— Czy to teraz jest dobry rzemieślnik? Wszystko oszusty! — odpowiedział Bułtyryn. — Oni tylko — byle wziąć pieniądze! Za lornetkę to ci młynek do kawy podsuną i tyle! Jak mi Bóg miły, tak jest.

W antrakcie chciało się Bułtyrynowi papierosa.

— Tu ją zostawić, za ryzykowne — myślał Bułtyryn, patrząc z nienawiścią na zwieszoną głowę Muroczki. — Do sali dla palących brać ją ze sobą?... Nie wypada! Dobrzeby było zamknąć ją w jakiej łoży niezajętej, a samemu iść na papierosa... Ale ona iść nie zechce!? A to mi się uwiązała do szyi!! Możeby ją usadzić we foyer na widoku, a samemu gdzieś w kąciku, żeby nikt nie spostrzegł, wypalić papierosa?

Wstał.

— Chodźmy!

— Dokąd? Ja tu posiedzę.

— Nie można! Nie można! Trzeba wyjść.

— Ależ odczep się pan odemnie! Idź pan sobie, gdzie się panu żywnie podoba!

— Nie! Ja bez pani się nie ruszę!

— Pójdiesz pan! — ze złością rzekła Muroczka. — Ja się nie ruszę stąd!

Bułtyryn się zamyslił.

— Ruszy się pani! Jak nie — to zrobię skandal! Myśli pani, że nie zrobię? Jak mi Bóg miły, tak zrobię! Wezmę i wrzasnę, że mam panią schwycił za rękę, gdyś pani mi wyciągała pugilares z kieszeni, albo powiem, żeś pani jest moją zbiegłą odemnie żoną! Cóż? Zanim tam kto dojdzie, że to nie prawda — to skandal przedtem będzie!

Muroczka z twarzą zmienioną ze złości wstała.

— Cóż też za łotr z pana! Ja temu mojemu idyocie Georgowi... ja mu jutro oczy wydrapię!... Chodźmy!

— Ty sobie tam, moja miła, knij i wymyślaj ile chcesz... — myślał tryumfujący Bułtyryn... — Ja to najlepiej wiem, jak należy postępować z kobietami!..

Ale w jednej chwili wyraz zadowolenienia odpadł z twarzy Bułtyryna.

Zbliżył się do nich młody człowiek w smokingu i wesoło powiewając afiszem, uprzejmie się uśmiechał do Muroczki.

— A, Marya Konstant...

— Wybacz pan, młody człowieku! — zasłaniając sobą Muroczkę mówił Bułtyryn. — Ale wstydzilibyś się pan w takim stanie zbliżać się do zamężnej kobiety! Załedwie się na nogach może utrzymać, a pozwala sobie...

— Słuchajno, łaskawco, ale ty, zdaje się, masz bzika!?

— Idź no dalej, idź! Kto jest, niech patrzy. O, język mu się płacze!

— Przedewszystkiem jesteś pan awanturnik! Nie znam pana i nie pana, ale panią Maryę Kokoszkiniową chciałem powitać...

Nie pojmująca o co chodzi publiczność zaczęła przystawać i gromadzić się. Gdy to spostrzegła Muroczka błagalnie spojrzała na młodego człowieka i szepnęła mu:

— Na miłość Boską! Do jutra... Przyjdź pan do męża. On panu to wyjaśni, nie rób pan teraz awantury!

Twarz Muroczki pałała, a w oczach jej błyszczały łzy. Zdumiony młody człowiek wzru-

szyl ramionami, uklonił się i odszedł, a Muroczka zwróciła się do publiczności z czarującym uśmiechem, wzięła Bułtyryna pod rękę i łagodnie rzekła:

— Zaprowadź mnie pan z łaski swojej do garderoby.

— Po co?

— Cóż tobie do tego, drabie — patrząc na publiczność z miłym uśmieszkiem wyszeptala Muroczka. — Z jakąż jabym rozkoszą wrywała ci brodę po jednym włosku.. ty gruboskóry zwierzu!

— Ślicznie! Wymyślaj pani dalej.. Chodźmy do garderoby. Ale ja zauważyłem te spojrzenia, któremiście się porozumiewali z owym młodym człowiekiem. Ja to zrozumiałem i samej pani do garderoby nie puszczę!

— Pan jesteś najkompletniejszy idyota! — wyrzekła cichutko Muroczka. — Przecież garderoba jest tylko dla kobiet!

— No tak! Ale tam może jest drugie wejście?

— Żakiet mój przecież i kapelus jest na dole, ciężki kretynie!

— Czy potrafiłaby ona zbiedz bez żakietu i bez kapelusza? — przemysliwał Bułtyryn. —

Może i nie potrafi. No, to niech pani idzie! Ja i tak będę przy drzwiach garderoby pilnował.

Gdy Muroczka wyszła z garderoby, natknęła się na Bułtyryna, który niespokojnie podglądał poza drzwi i o czemś z garderobianą szeptem się rozgadywał.

— Jedziemy do domu — stanowczo rzekła Muroczka.

— Aha! Nie udało się z kochankiem, — uśmiechnął się ironicznie Bułtyryn, mówiąc do siebie. „Jedziemy i owszem!“

Uczepił się Muroczki za rękę, sprowadził ją na parter i pokazawszy język jakiemuś panu, spoglądającemu uparcie na piękną twarz Muroczki, siadł z nią do dorożki.

— Szkoda, żeśmy nie doczekali końca sztuki — z przymileniem mówił do niej, gdy dorożka ruszyła — zabawną zdaje mi się ta sztuka.

Muroczka z nienawiścią spojrzała na jego prostoduszną twarz i rzekła:

— Podły! Podły! Głupiec przeklęty! Osioł!

— Czego się pani na mnie irytuje? — zdziwił się Bułtyryn.

— Otóż to kretyn! Jak się położę spać, to

umyślnie otworzę okno i wpuszczę kochanka..
Ha! Ha! Ha!

— O nic z tego! Pani tego nie zrobi —
z zimną krwią odpowiedział Bułtyryn.

— Dlaczegoż to nie? Pozwoli się pan zapytać.

— A dlatego, że ja sobie wezmę fotel, siądę
w sypialnym pokoju i będę pilaować!..

— Pan masz bzika! Jesteś pan do tego
stopnia głupi, że nie możesz poznać się na
żarcie!

— Ślicznie! Pięknie! A ja i tak zrobię! Boś
się pani wygadała, a teraz chcesz się pani wy-
łgać. Jak mi Bóg miły, tak siądę sobie w po-
koju sypialnym. Ja nie na darmo dałem słowo
Georgowi!

— Odważ się pan tylko! Zawołam stróżów
i każę pana odprowadzić do policyi.

— A ja skandal zrobię! Powiem, że jestem
pani kochankiem i że pani to czynisz z zazdrości
o pokojówkę!

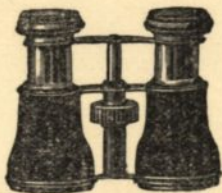
— Podły!

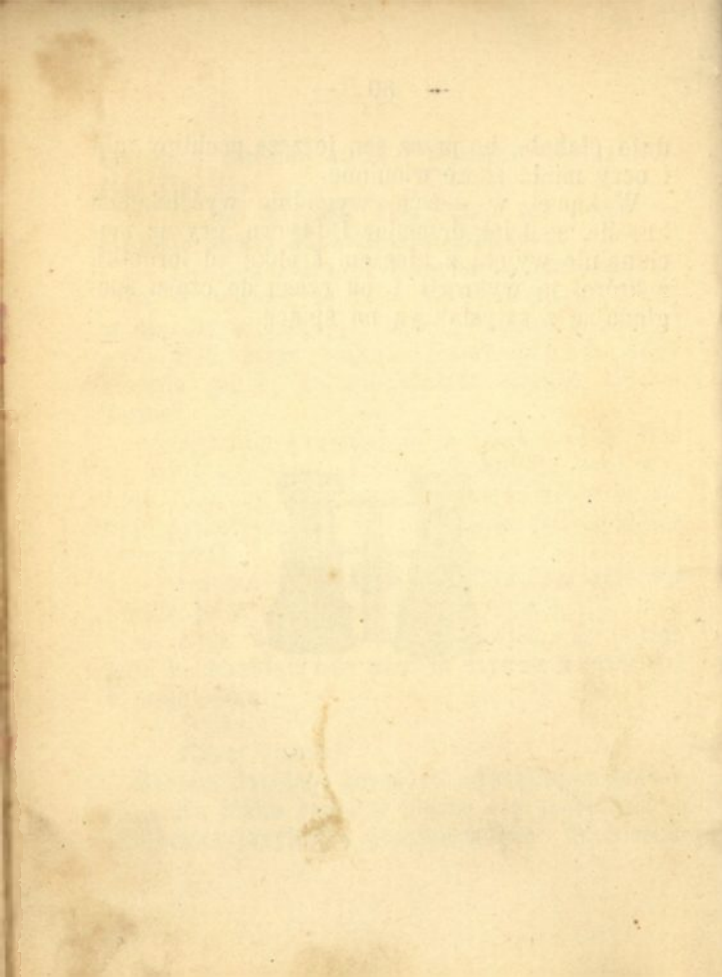
— Niech będzie!

Świeca dopalała się słabo, oświetlając sypial-
nię.. Na łóżku spała w bluzce i w pończochach
Muroczka przykryta prześcieradłem. Widocznie

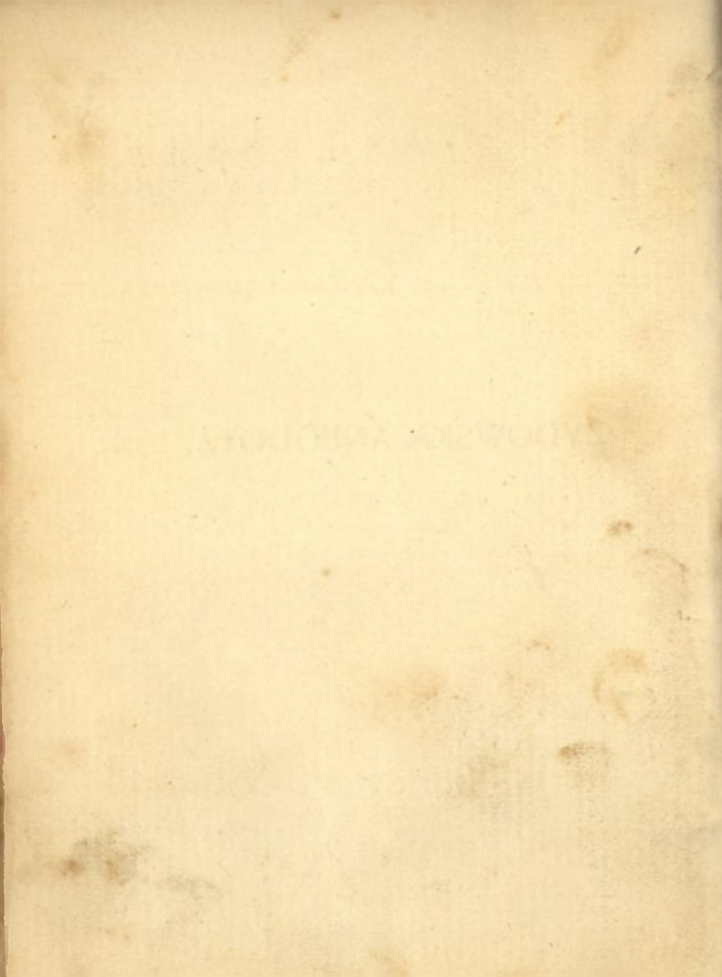
dużo płakała, bo przez sen jeszcze pochłipywała i oczy miała zaczerwienione.

W kącie, w dużym, wygodnym wyścielanym krześle, siedział, drzemiąc Bułtyryn, gryząc machinalnie wyjętą z kieszeni śrubkę od lornetki, z której ją wykręcił i od czasu do czasu spoglądając z satysfakcją na śpiącą.





ŻYDOWSKA ANEGDOTA.





I.

Sura Freiberg z miasteczka Wyrkina miała aż siedmioro dzieci, a nie miała wcale męża.

Z początku miała męża, ale go potem wsadzili do kryminału za jakieś tam brzydkie słowa, gdzie on też, jak mawiała kiwając głową pani Freiberg: „Stopniowo zeszedł zupełnie“.

Sura, nie wdając się w nieprzyzwoite kłótnie z obojętnem niebem, które ją pokrzywdziło, postąpiła sobie czysto po kobiecemu, bo zaczęła handlować na mieście igłami, szpilkami i wstążkami, przerabiać na nowe stare suknie wyrkińskich strojniś, robić po nocach pończochy, piec ciastka, które potem przy pomocy małego Abramka zbywała wyrkińskim gastronomom, szyć męskie koszule i znaczyć chustki do nosa.

Wszystkie te wesołe, zabawne zajęcia nie zdołały oderwać Sury od jej właściwych obowiązków. Wróciwszy więc wieczorem z kramu, wyszukiwała rodzonych jej małych człowieczków, którzy przez cały długi dzień zdołali jak raki z koszyka porozłazić się po całym miasteczku, zabierała ich do wspólnego gniazda, nawymyślała im, naprzeklinała, wybiła wszystkich co do jednego, wymyła, nakarmiła, wycalowała, ułożyła spać, co jej dawało możność do zabrania się w spokoju do jednego z wyliczonych powyżej wesołych zajęć.

A zrana kłopotu było jeszcze więcej.

Wszystko budziło się naraz i odrazu zaczynało się komiczne zawracanie głowy i uganiatyka z trzynastoma bucikami, (Dawidkowi w swoim czasie wóz urwał nogę), z trzynastoma pończochami i z całą kupą gałganków, dopóki wszystko nie znalazło się na chudych nogach i wązkich plecach właścicieli tych skarbów.

Rozdzielanie bucików zabierało Surze tyle czasu, że nie zdążała poprzeklinać wszystkich swoich kochanych, a i szturchańce ranne rozdzielane były do najwyższego stopnia nierównomiernie, bo niektórym szczęśliwcom dostawała

się podwójna porcja, inni musieli czekać na swoje aż do wieczora.

Dogryzając kawałek chleba, pani Freiberg chwyciła chustkę, węzelek i na łeb na szyję wybiegała ze stancyi, a utknawszy w progu na któregokolwiek, np. Siemka — pospiesznie pytała:

— Kiedyż dyabli wezmą ode mnie tego bachora, żeby mi się nie płatał pod nogami!

Malutki Siemka otwierał gębę, nie wiadomo, czy na to, aby matce odpowiedzieć zgodliwie na zapytanie, czy poprostu, aby zakrzyczeć — ale pani Freiberg już nie było.

Ona już leciała przez wąskie ulice Wyrkina i obliczała w biednym kobiecym mózgu, za ile dzisiaj sprzeda szpilek i igieł i ile na tem zarobi.

II.

Niedawno, wróciwszy wieczorem z targu, pani Freiberg nakławszy beznamiętnie po macierzyńsku dzieciom wszystkim co do jednego, wytargała za uszy Dawidka, szturknęła Siemka, a wzięwszy na ręce dwuletniego Aronka, zaczęła płakać, tak sobie zwyczajnie, co jej samej się już uprzykrzało.

Skończywszy z płaczem, popatrzyła od niechcienia bliżej na lśniącą się od masła twarz Aronka i aż krzyknęła z przestachu:

— Co to? Co to jest? Co się stało z twojem oczkiem, moje ty malutkie kureząteczko? Coś ty zrobił z twojem okiem, bodajbyś się zapadł, ty parszywy bachorze, który tylko nad tem przemyśliwasz, żeby zmartwić twoją mameczkę? Aj! Aj! Jakie on ma czerwone oko! Jakie załzawione! Jak wodospad! Aj! Aj! Moje nie-szczęście!

Teraz płakało troje oczu. Dwoje pani Freiberg, a jedno malutkiego Aronka, czerwone, łażwiące, na pół zakryte ocieżała powieką. Opoдал podskakiwał na jednej jedynej nodze Dawidek, a ze skaleczonego palca wysysała krew córeczka Raiczka.

Było strasznie wesoło!

III.

Na drugi dzień oczko Aronka razem z jego obojętnym na wszystko na świecie właścicielem było wystawione z domu na surowy sąd poczciwych sąsiadek pani Freiberg.

— Czy ty, kochanku, widzisz co tem okiem? — pytała się go pani Perlmuter.

— Ui! — niezrozumiale zapiszczał chłopiec.

— Co on wiel! — wyrzekła stara Gitelson. — Co może wiedzieć taka mała, głupia odrobina? Trzeba go zawieźć do okulisty!

— Do takiego, co kuruje na oczy — wyjaśniła pani Sztilman.

— Do którego trzeba koleją jechać dziesięć godzin — uprzejmie dodała pani Perlmuter.

— Dziesięć godzin tam i dziesięć z powrotem — pouczyła stara Gitelson.

— Pani Freiberg! — mówiła złowieszczo spokojnie pani Perlmuter. — To malutkie oczko będzie panią kosztować piętnaście rubli!

Pani Freiberg zacięła zęby, twarz przyoblekła w kamienny spokój i rzekła:

— Dobrze. Dla mojego dziecka ja to zrobię.

Wzięła syna za rękę i dodała:

— Pójdźmy do domu, niechby cię już raz dyabli wzięli w nieczyste miejsce!

IV.

Pani Freiberg ostatnimi dniami ogromnie się spieszyła. Miała wszystkich pieniędzy około

ośmiu rubli, oko Aronka czerwieniało, jak rubin, a popyt na szpilki i wstążki śmiesznie zmałał. Ponieważ Abramek sprzedawał teraz podwójną porcję ciastek, więc pani Freiberg spała tylko wtenczas, gdy myła, przeklinała i całowała dzieci, a całami nocami szyła, takiej zaś rozkoszy, jak płacz, pozwalała sobie nie dłużej, jak przez dziesięć minut na dzień.

Gdy uskładała dwanaście rubli, przyszły do niej rano sąsiadki, pani Perlmutter i pani Sztilman i stara Gitelson i rzekły:

— O cóż chodzi! Weź pani pięć rubli od nas, pani Freiberg. Pani teraz przecież potrzebuje.

Że miała kilka minut wolnych, więc pani Freiberg zapłakała, biorąc pieniądze, ale natychmiast, przechodząc w ton przedsiębiorczy, zdecydowała się jechać z Aronkiem dzisiaj wieczór.

V.

Z targu przybiegła Sura na czterdzieści minut przed odejściem pociągu. A że czterdzieści minut trzeba było jechać do stacyi kolejowej, więc chwyciła Aronka, zawinęła go w dużą chustkę, podbiegła do stołu, chwyciła węzełek

z prowizyą, doleciała do Raiczki, dała jej szturchańca, krzyknęła do Dawidka: „Pamiętaj, żebyś mi nie bił dzieci, boś starszy!” Zmacała w kieszeni pieniądze, upuściła zawiniątko z prowizyą, podniosła je i zniknęła, mówiąc:

— Umyjcie i nakarmijcie malutkich!

Gdy pani Freiberg siadła do wagonu, westchnęła spokojnie i powiedziała sobie:

— Pani Freiberg! Teraz sobie pani możesz do jutra pospać! He... He... Ja myślę, żeś ty na to sobie zasłużyła, pani Freiberg!

Rano siedziała Sura w poczekalni okulisty, trzymając na rękach Aronka, zakutanego w ciepłą chustkę i niecierpliwie czekała na swoją kolej.

— Proszę!

Sura wstała, weszła do gabinetu i nisko się pokłoniła doktorowi.

— Moje uszanowanie panu doktorowi! Jak się pan doktor miewa? Przyniosłam panu mojego malutkiego. Coś mu się stało w oczko, coś niepojętego. Straszne cierpienie.

Doktor się zbliżył, pomógł Surze odwinąć chustkę, rozwarł dziecku oczki, pepatrział...

— Hm... — mruknął. — Dziwne... Nic zewnątrz nie widać.

W tej chwili rozległ się straszny, ochryply, przerażający okrzyk matki:

— Panie lekarzu! Ja nie to dziecko wzięła!

VI.

Gdyby Bóg z wysokości niebios popatrzył na zmoczoną jesiennym deszczem ziemię, toby zobaczył pełzającego po niezmiernym przestworze robaka.

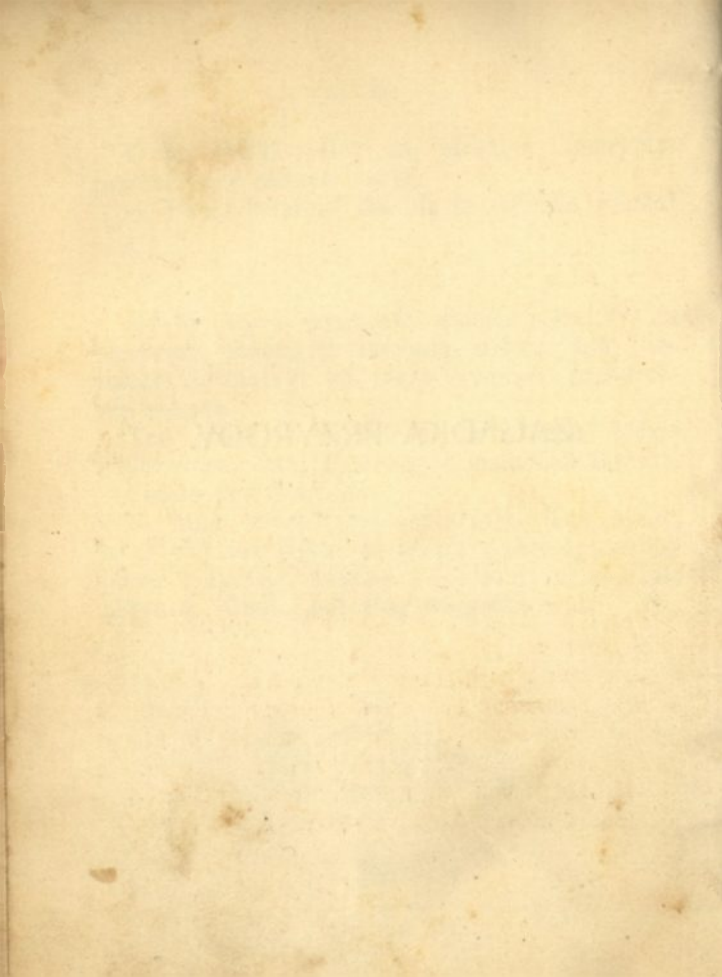
Ten robak — to pociąg, w którym jedzie z powrotem pani Freiberg z malutkim Siemką.

Jedzie ona i myśli:

— Moje serce teraz silnie bije. Tak silnie, że gdyby tak pękło, to od huku tego ogłuchliby ludzie i żyć na świecie — byłoby ostatecznie przykro... Oho!... ho! Bóg wszystko widzi!



ZAGADKA PRZYRODY.





Późno w nocy, siedząc w swoim zacisznym gabinecie, pisałem artykuł do okultystycznego tygodnika o życiu pozagrobowym. Faktów o życiu pozagrobowym znałem aku-

rat tyle, co przekupka pomarańcz i to mnie gryzło.

Trzeba było więc zażywać fantazyi, czego okropnie nie lubię...

Napisawszy kilkanaście wierszy o tem, że dusze zmarłych siadają na wierzchołkach drzew, rosnących obok grobów i zajmują się potem przy jawieniu się żyjących krewnych żalosnem kiwaniem owemi wierzchołkami, niedowierzająco wzruszyłem ramionami i zamyśliłem się.

— Za mojami plecami — mówiłem sam do siebie — ot tam, w głębi gabinetu, wisi szkielet kobiety, który mi podarował przyjaciel... Ten marny, nikomu na nic nie przydatny kościotrup, wie o życiu pozagrobowym sto razy więcej odemnie, żyjącego człowieka, pana przyrody... Nie pożalowałbym reszty mojego życia za to, żeby ta kobieta zechciała otworzyć swe kościste usta i podnieść choć mały krajuszek tajemniczej zasłony życia pozagrobowego.

Z oddalenia dało się słyszeć słabe westchnienie.

Wzdrygnąłem się i natężyłem słuch.

— Ach! Gdzież ja jestem? — zaskrzeczało coś w głębi gabinetu. — Cóż za idyota ośmielił się mnie powiesić?

Zerwałem się ze stołka z oczami, gotowemi do wypadnięcia na podłogę ze strachu i zwróciłem się do szkieletu. Właścicielka tegoż zaszleściła ręką i przybrała pozę Wenery, wychodzącej z piany morskiej. Nie mogłem od niej odwrócić przestraszonych oczu i stałem milczący, a ona, pochyliwszy czaszkę, wstydliwie rzekła:

— Ach! Nie patrz pan tak na mnie!

— Jak to tak? — spytałem machinalnie.

— Tak!.. Wyście wszyscy mężczyźni jedacy. Pan, zdaje się, zapomniał, że ja nie jestem ubrana. Bo i czegoż pan stanąłeś jak słup? Rusz że się pan! Przynies mi pan coprędzej cośkolwiek do okrycia i odczep mnie pan od tego gwoździa. — Tylko się pan nie patrz na mnie, dopóki się nie ubiorę. No.. no.. lubieżniku!

Pogroziła mi kościstym palcem i zawinęła się w podaną jej kołdrę.

Zdjąłem ją z gwoździa, przyczem zauważyłem, że się przycisnęła do mojego ramienia silniej, niż było potrzeba.

— Boże! — rzekła, zawijając się w kołdrę. — Sama w nocy w gabinecie młodego mężczyzny.. Mam nadzieję, że pan nie nadużyje mojego przymusowego położenia.

— Wybaczy pani — odpowiedziałem, odsuwając się nieznacznie od niej — ale jak mogła pani przypuszczać..

— No, no, znam ja was! Wszyscy wy z początku tak mówicie..

Rozglądawszy się, wzięła ze stołu zmiętą kartkę papieru, potarła ją ozeschłą ziemię wazonika z kwiatkiem i poczęła tem pudrować kościste swe policzki.

— Nie patrz się pan tak na mnie! Ja zawsze czernieję ze wzruszenia, gdy mężczyzna na mnie tak patrzy.

— Wybacz pani — szepnąłem. — Nie będę się patrzył.

— Nie będzie się pan patrzył? — Uśmiechnęła się niedowierzająco, wyszczerzając w szczególny sposób zęby. — Czyżbym się panu nie podobała?

— O, i owszem, bardzo mi się pani podoba, hm... Ja bardzo gustuję w takich... szczupłych damach!

Bezczelnie pochlebiałem jej, mając nadzieję, że w ten sposób dowiem się od niej dużo z tego, co wiedziała, a co było dla mnie tak niedościgłem. Ona też brała to za dobrą monetę.

Poczerniała, wzruszyła się, a podniósłszy obie ręce do czaszki, wykrzyknęła:

— Ach, jakież z pana miły kawaler! Powiedz mi pan z łaski swojej... czy mi się fryzura nie rozburzyła?

— Nie! — Rzeczywiście prawdę rzekłem, bo przecież fryzura jej absolutnie zburzyć się nie mogła.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie pustymi oczodołami, a ja, dążąc do rzeczy, zacząłem:

— Madam!

— Ach! Co pan mówi — oburzył się szkielet. — Ja jeszcze mademoisell.

— Czyżby? Wybacz pani, nie wiedziałem. Mam wielką prośbę do pani...

Szkielet zawinął się szczelnie w kołdrę i śmiejąc się, mówił:

— Ach! Nie! Nie! Cóż pan znowu... Za nic w świecie!

— Co? Nie? Nie rozumiem pani...

— Tak, tak! Niby nie rozumiem. Wszyscy wy mężczyźni nie rozumiecie...

— Zapewniam panią!... Mam do pani wielką prośbę. Oto, niech mi pani z łaski swojej opowie co o życiu pozagrobowym.

— Pan nie wie? — Uśmiechnęła się, kiwając zalotnie końcem nogi, wystającym z pod kołdry. — Ach, to takie interesujące!.. To strasznie, szalenie interesujące!

— Co pani mówi! — Ucieszyłem się. — Więc niech mi pani to opowie...

— Z pewnością, z pewnością! Ani sobie pan

wyobrazić nie może, co się tam nie dzieje! Ale... hm... i pan musi mi coś nie coś powiedzieć...

— O ile pani tylko chce!

Zmarszczyła nieco otwór nad okiem i poważnie rzekła:

— Merci. Powiedz mi pan, co teraz najwięcej noszą?

Przekonany, że jej myśli zamykają się w ciasnym okręgu zmarłych, w sferze pogrzebowych interesów, odpowiedziałem, kiwając głową:

— Co noszą? Ta, wszystko. I dzieci i starych i kwitnące kobiety i młodzież.

— Ależ nie! Ja pana pytam, co w tym sezonie noszą?

— Najwięcej cholerycznych — odpowiedziałem po namyśle.

— Nie! Nie! Jakież z pana niepojętny safandula. Co u was teraz kobiety noszą? No, wąskie rękawy, czy w modzie?

— Ach, tak! Bywają i wąskie — odpowiedziałem niezdecydowanie.

— Nie uważał pan, czy na piersiach robią w zakładki?

— Zakładki? Czasem krawczynie robią nadzwyczajne zakładki.

Zamyśliwszy się, potrząsała czaszką.

— Hm... Tak myślałam. A powiedz mi pan...
Jakie teraz spodnice?

— Spodnice? Noszą i czarne, i czerwone
i zielonkowate..

— Nie! Nie o to idzie... Fason, jaki fason?

— Taki... uważa pani, obcisty.

— Obcisty?! Aha!... Zawsze mówiłam, że do
tego przyjdzie!

Obciągnęła na biodrach kołdrę i okręciła się
przede mną.

— Tak?

— Łaskawa pani — nieśmiało przypomnia-
łem. — Obiecała mi pani opowiedzieć coś nie
coś o tamtym...

— Tak, tak... A kapelusze?.. Z pewnością
jeszcze ciągle te wielkie

— Wielkie, łaskawa pani, ośmielam się..

— Boże mój! Co pan ode mnie chce?

— Obiecała mi pani...

— Aha! Przepraszam! Cóż panu opowiem?

— Wszystko, ze szczegółami... Jak tam wo-
góle...

— Ach! Nawet sobie pan wyobrazić nie mo-
że! Trzeba panu wiedzieć, że umarło nas trzy.

Ja, potem jedna gruba kupcowa i żona adwokata. Ja miałam białą suknię z różowymi obszawkami, włosy zaczesane do tyłu, a na nogach...

— Pani droga!

— Co? Nie przerywaj pan! A żona adwokata... Niech pan sobie wyobrazi, była w czarnej sukni wełnianej i w pantoflach bez obcasów... Ha! Ha! Ha! Bez obcasów! Ha! Ha! Ha!

Tak się zaczęła śmiać, aż się krztusiła. Potem wstała z krzesła i, chodząc przed lustrem, opowiadała dalej:

— No i umieramy... W tym samym dniu chowali jednego młodego urzędnika. Taki był wysoki, przystojny, z wąsikami. Opowiadano mi, że na pogrzebie jego była młoda kobieta, która płakała nad grobem i starzec, który...

— Pani łaskawa!...

— No, o cóż panu chodzi?... Potem były nad grobem mowy. Jakiś grubas powiedział: „Odkryjmy głowy nasze przed prochem tego młodego człowieka...” Strasznie to było wzruszające.

— Pani! Ja panią prosiłem o opowiadanie o życiu pozagrobowym, a pani mi...

— Ach! O życiu pozagrobowym? Czegoż mi pan tego pierwej nie powiedział... Nasze życie pozagrobowe składa się z tego, że...

Stała przed zwierciadłem i zwróciła się do niego tyłem.

— A z tyłu dobrze mnie obciska?

— Dobrze! Więc mówi pani, że życie pozagrobowe...

— Tak. Składa się z tego, że... Ach! jakaż to przykrość! W żaden sposób nie mogę się zobaczyć od tyłu...

Przekrzywiła głowę tak, że zatrzęszczały kręgi.

— Pozagrobowe życie nasze składa się z tego, że...

Wykręciła czerep omal że nie całkiem na tył. Niespodziewanie ścięgno, łączące kręgi, pękło i głowa z dwoma górnymi kręgami głucho upadła na dywan...

Moja towarzyszka zachwiała się i runęła, rozsypawszy się przytem w masę pojedynczych kości.

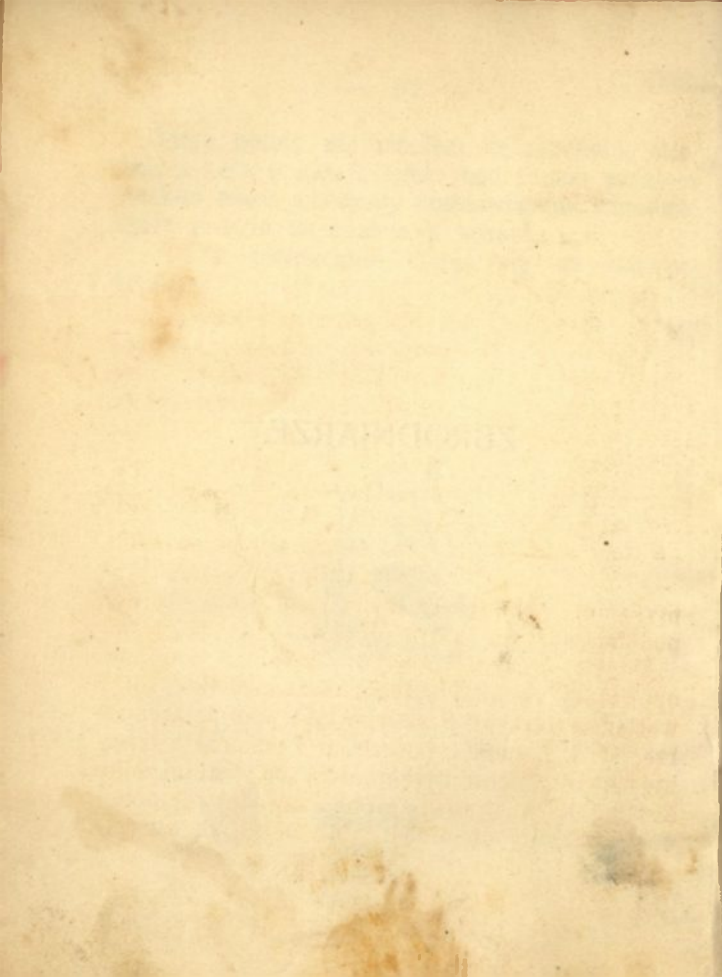
— Przeklęta, gadatliwa baba! — krzyknąłem w pasyi i wytrząsnąłem kości z kołdry.

Długo potem nie mogłem się uspokoić, chodząc z kąta w kąt. Dopiero nad ranem usnąłem ciężkim snem, zmęczony nierozwiązaną zagadką, którą prawie, że miałem w rękach:

— Cóż ostatecznie dzieje się na tamtym świecie?



ZBRODNIARZE.





Śpiącego przystawa Buchwostowa rozbudzili i zawiadomili go, że chłopci przywieźli mu do przesłuchania dwóch pojmanych ludzi: Sawiela Szestichatkę i nieznanego zatajającego swoje nazwisko.

W dokumencie przewodnim z ziemstwa oznajmiono, że przysłani ludzie naruszyli „zasadnicze prawa podpadające pod karną odpowiedzialność...”

Poniżej pisarz prostym ludzkim językiem opowiadał, że obaj pojmani prowadzili się niżej wszelkiej krytyki. Szestichatka wpadł do arendarza, żyda Zalmana, porozbijał i połamał wszystkie sprzęty, zranił rękojeścią od patelni żonę arendarza, a synowi arendarza oderwał ucho; doprowadzony do urzędu zbił wójta, dziesiętni-

BIBLIOTEKA

**UMCS
LUBLIN**

kowi wybił dwa zęby, a jemu, pisarzowi, usiłował uszkodzić frontowe konieczności...

Oderwane ucho i wybite dwa zęby przysłano równocześnie z pismem, zawinięte w zaskorupiałą, przepojoną krwią szmatę.

Drugi, nieznanego nazwiska człowiek, okazał się winnym, gdy spotkany w ogrodach nie chciał wyjawić swojego nazwiska, a przy rewizji znaleziono u niego paczkę proklamacyj, bombę i rudą fałszywą brodę.

Pristaw Buchwostow przeczytał przewodni akt, zaświstał, a podrapawszy się po nieogolonej brodzie, zamruczał:

— Łajdacki naród.

A po twarzy jego nie można było poznać, o kim on tak myślał, czy o chłopach, którzy mu sen przerwali, czy o Szestichatce, który urwał ucho synowi arendarza, czy o nieznanego nazwiska człowieku, zajmującym się ciemną, tajemniczą i straszną sprawą.

Pristaw uchylił drzwi z kancelaryi do przedpokoju i zawołał na dziesiętnika:

— Wpuszczaj po kolei!

Do pokoju wszedł wysoki, poczerniały chłop w króciutkim kubraczku, z wążutkami kał-

muckiem i oczkami i z włosami sterczącymi mu jak wachlarz na szyszkowatej głowie.

Stanął przed stołem i ponuro utopił wzrok w koniec rozerwanego swojego lewego buta.

Pristaw Buchwostow szybko zbliżył się do niego, energicznym ruchem ręki podniósł w górę opuszczoną na dół jego głowę i przymrużywszy oczy, rzekł:

— Ładny!... Ach ty Szestichatka! Tobie nie Szestichatka się zwać, ale...

Pristaw chciał powiedzieć coś zabawnego, coby polegało na humorystycznym przemianiu nazwiska Szestichatki, a równocześnie, aby brzmiało złośliwie a śmiesznie wobec tegoż konduity, ale zamiast tego niespodziewanie zakończył:

— Ale gałganem!

Potem pristaw Buchwostow przeszedł w poważny urzędowy ton.

— Piszą tu na ciebie, żeś urządził pogrom u arendarza, żeś urwał ucho jego synowi, żeś zbił wójta i żeś wybił dziesiątnikowi zęby. Prawda to?

Poczerniały chłop popatrzył z pode łba na pristawę i zamruczał:

— Prawda.

— Słyszane to rzeczy! — Strzepnął rękami przystaw. — I do tego jeszcze się przyznaje! Cóż ci zawinił arendarz?

Chłop jeszcze raz uważnie popatrzył na przystawę i rzekł:

— Ja żydów zawsze biję.

— Za cóż ich ty bijesz?

— Oni Chrystusa męczyli, a też i władzy nie uznają. Najbardziej za to nienuznawanie władzy.

— Hm.. — zastanawiał się przystaw. — Ale mimo to bić ich ty prawa nie masz.

— No to jakże — rozłożył ręce chłop. — Ja im mówię: Poczekajcie, pan gubernator wszystkich was powywiesza, a oni mówią, niby arendarz odpowiada: co mnie tam twój gubernator, ja go za trzy ruble kupię!

— Czyżby tak powiedział?

— Zupełnie tak! Poczekaj, mówię mu, będzie pan przystaw wiedział o twoich gadaniach. A on paskudnik śmieje się i mówi: Jeżeli wasz gubernator wart trzy ruble, to przystawa można mieć za półtinnik.

— Co? co? mówię... tak?

Pristaw niespodziewanie roześmiał się.

— Takeś ty — znaczy — za to synowi ucho?...

— Na czysto! Do równości! Bom sobie tak wydumał: Jeżeli ty obrażasz moją władzę, to ja słusznie twojemu synowi uszy poobrywam. Mam prawo! Zpełne prawo!

— Ha! Ha! Ach... ty ośle! Ty bezwzględna duszo. Ale uważasz... ty... tu piszą, żeś ty tam poprostu rzeź wyprawił. Za cóżeś arendarkę tą patelnią rznął?

— Ona, wielmożny panie, na żonę wielmożnego pana obelżywie bryzgała. Na dobrodziejkę.

— Co-o? — jakoś niemiło uśmiechnął się pristaw. — Dobrze. Już o to, to my się zapytamy arendarki. To tylko bracie nie dobrze, żeś wójta pokrzywdził i żeś zęby wytrącił temu dziesiątnikowi. Za cóżeś im to zrobił?

— Oni także. Ja mówię: „Nie waźcie się mnie aresztować. Ja się postawił za pana pristawą“. A on mi na to: „A cóż to ten twój pristaw taka caca? Tak jest, powiedzieli: caca! W oczach mi pociemniało. Żeby o przetożonych tak się odzywać??!! No, jak się też zamachnąłem.

— Ha! Ha! Ha! Ha!... Ja widzę, żeś ty nie głupi chłopiec... z zasadami... Sprawę twoją trzeba będzie ukręcić... bo i tak ona za... kuriozną... Idź sobie Szestichatka. Zaczekajno? Wódki byś się napił? Co Szestichatka?

Pristaw Buchwostow pomacał w kieszeni i wyjął dwudziestokopiejkówkę.

— Na, — masz. — Wypij tam, gdzie chcesz.

— Zupełnie. Jabym tak jeszcze wielmożnego pana poprosił o jakie buciki. Nie byłoby ta dla mnie jakich? Wydarłem się z butów...

— Dobrze już! Wesole z ciebie chłopczysko. Dam ci ze siebie... Noszone nie całe dwa miesiące. Więceś ją ty patelnią?

— A cóż? Trzasnąłem ją i tyle. Z nimi tak trzeba!

Pristaw wyszedł z kancelaryi do sypialni i po chwili wyniósł buty.

— Masz — powiada — bierz i idź bracie dalej. Idź sobie!

— Wielmożny panie! Możeby jakie paltoci-sko...

— No, no, idźże już sobie. Dostyc tego! Nie bądź taki łakomy! Ei! Parfeu! Tego puścić wolno, niech sobie idzie!... Podawaj tu tego dru-

giego. Bywaj zdrów Szestichatko. Powiedział: „caca“, tak? Ha! ha! ha! ha!

— Żegnaj wielmożnego pana. Będzie dalej jeszcze zabawniejsze. Życzę szczęścia!!

Dziesiątnik wprowadził drugiego człowieka, przywiezionego przez chłopów, a trzasnąwszy go dla porządku w kark, wyszedł.

— A! Sokół nasz jasny! Latał, latał, aż ugrzązł pazurami... Dawno jednego z was nie widzieliśmy... Jakże się miewa Erfurcki program?

Przed przystawem stał nie duży, krępy człowiek o byczym karku z dzokiejską, potarganą czapką i spuściwszy ciężkie, zasiniąle powieki, milcząc, słuchał..

— Zapewne nie warto cię pytać o twoje społeczne stanowisko: Lidyt, melinit, nitrogliceryna i tym podobnych specyałów cały lik...

Potem zmieniawszy ton, przystaw popatrzył w twarz nieznanego i oschle zapytał:

— Masz współników?

— Nie miałem — cicho odpowiedział nieznanym.

— No! Naturalnie. Ja też tak myślałem. Cóż panie przewrotowiec... Zwierz z asana widocznie czerwony, trzeba będzie z panem pojechać do miasta. Co?

— To ja i z miasta jestem.

— Jakże to? Jakiż wiatr zaniósł was na tu-
tejsze ogrody?

— Pocóż mi tutejszych ogrodów? Ja na Bor-
kino jechał, wielmożny panie.

— No tak! Więc cię wójt, i pisarz i chłopcy
oszkalowali biedaka?!

— Djabeł poplątał, jeżeli już prawdę rzec.

— Czyżby? Co ty gadasz? Pierwszy raz sły-
szę o współudziale tego pana w waszych orga-
nizacjach. Toście może i na zabijanie szli nie
po swojej woli, ale z poduszczenia tego kon-
spiratora.

— Przecież nie było wcale zabójstwa! Chcia-
łem ich postraszyć.

— Naturalnie! Rzucisz ją pod nogi, lekki
przestrach i nerwowe wstrząśnienie. Ha, ha, ha,
wasza platforma oczywiście to w pierwszym rzę-
dzie miłość i współczucie dla bliźnich. Co? Cóż
milczysz?

Nieznajomy przestąpił z nogi na nogę i odrzekł:

— Pijany byłem!

— Co... o... o?

— Pijany byłem. A oni.. Za siano... trzydzie-
ści kopiejek. Czy to możliwe?

— Jakie siano? Co ty mówisz?

— Jest siano. Ja im mówię: „Boga się nie boicie?“ A oni: „Tak jest, czy nie jest, a my Waśki bez zapłaty nie wypuścimy!“

— Nic z tego nie rozumiem!... Jakiego Waśki!?

— Czugrejewskiego. Ja jechałem na czugrejowskim. Tak mi się zrobiło przykro! A wy, mówię, tacy owacy... Prochu z was nie zostawię...

— Czekajno, czekajno kochanku! Ja nic z tego nie pojmuję. Komużeś ty to tak powiedział?

— Arendarzowi.

— No, a ta bomba gdzież była?

— Bomba? Jaka?

— Czegóż to u diabła arendarza w to miesiąc? Skąd wzięłaś bombę?

— Ja nie brał bomby, wielmożny panie. Co mnie... mnie niczyjego nie trzeba.

— A któż ty jesteś?

— Także czugrejewski. Oni: — trzydzieści kopiejek, pozwólcie powiedzieć. J-a-a-a-k? Gdzie takie prawo, żeby za zgniłe siano? No i z tego poszło.

— Co poszło?

— Co z pijanego człowieka wziąć, wielmożny panie? Wiadoma rzecz — nic nie weźmie.

— Ty, bracie, coś ogonem kręcisz... Głupiego udajesz! Chłopa niby to!

— Głupi, bom ta i jest. Mądry przecie nie będzie żydźtom uszów obrywać. Po pijanemu ręka to mnie świerzbi. A jak wytrzeźwisz, to widzisz, aha-a-a... Przeskrobałeś!

Pristaw Buchwostow skoczył do nieznanego i chwycił go pod gardło.

— Ty!... Ty!... Jak cię zowią!

— Mnie niby? Mnie Sawielem. U Czurgiewa za parobka służę. Sawielej Szestichatka się nazywam.

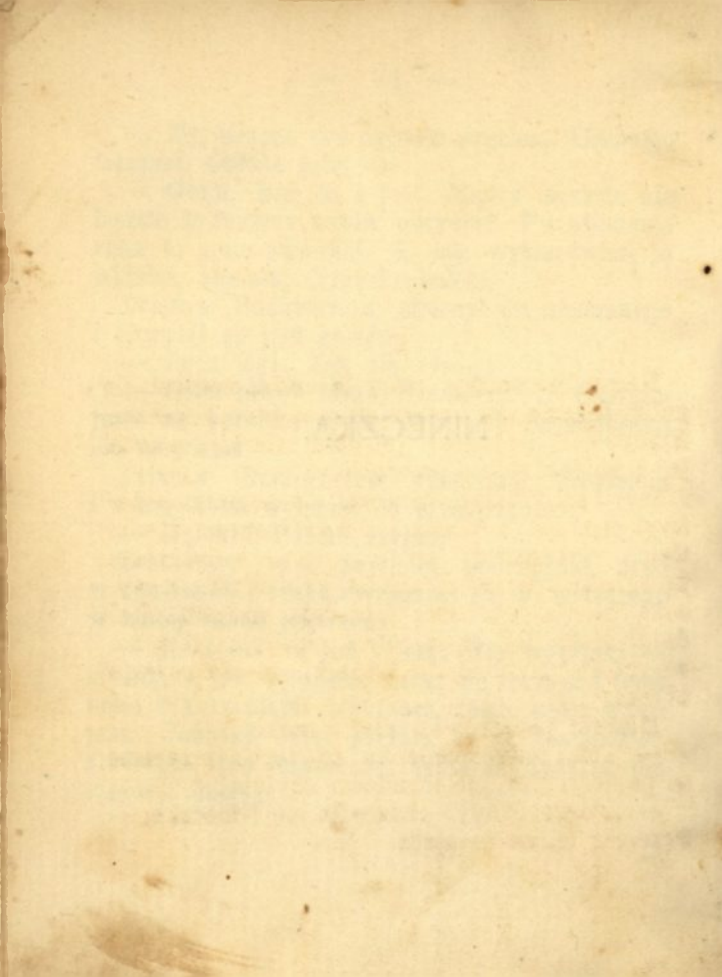
Pristaw Buchwostow odepchnął Sawieleja i z krzykiem wyleciał do przedpokoju.

— Uciekł!? Puścili szelmę!

Zostawszy sam Sawielej podciągnął brwi w zdumieniu i rzekł, zwracając się do wiszącego w złotej ramie portretu:

— No i tak to już i jest: Nie wypijesz — spokój, a jak wypijesz, zaraz cię roznosi i temu ucho z korzeniami wydrzesz, temu zęby wybijesz... Jak tak dalej pójdzie, to ci, bracie Szestichatka, nie nastarczą żydówki żydźt dla uszów... Zuch...

NINECZKA.



I.

Naczelnik służby, stary Miszkin, wezwał do gabinetu swojego piszącą na maszynie Nineczkę Rjadnową i podawszy jej dwa referaty, polecił jej przepisać je na czysto.

Gdy jej Miszkin wręczał te papiery, popatrzył na nią z bliska i dzięki jasnemu oświetleniu słonecznemu po raz pierwszy dokładnie ją oglądnął. Przed nim stała pulchniutka z wysoką piersią, panienka średniego wzrostu... Ładna, biała jej twarz była spokojna i tylko w oczach przebiegały iskierki niebieskawego błysku.

Miszkin podszedł ku niej i rzekł:

— Tak tedy, panienka to tego... przepisze te papiery. Czy nie utrudzam zbyttnio?

— Dlaczegożby? — zdziwiła się Nineczka. — Przecież mi za to płacą.

— Tak, tak, płacą. To prawda, że płacą. A piersi panienkę nie bolą od maszyny? Smutne by to było, gdyby takie ładne piersi bolały...

— Piersi mnie nie bolą.

— Cieszę się bardzo. Nie chłodno panience?

— Dlaczegoż miałyby mi być chłodno?

— Taką cienką bluzkę panienka ma, przezroczystą. Nawet ciało na ramionkach przegląda. Ładne ramiona. Ma panienka muszkuły na ramionach?

— Zostaw pan moje ramiona w spokoju!

— Milusia moja... Minutkę! Zaczekajże!... Czego się wyrywasz?... Ja tylko za sam rękaw... bo przegląda...

— Puść pan rękę! Mnie to boli! Jak pan śmiesz? Niegodziwiec!

Nineczka Rjadnowa wyrwała się z zylastych drżących rąk starego Miszki i wybiegła do sali wspólnej, gdzie pracowali inni urzędnicy. Włosy się jej przechyliły na jedną stronę, a prawa ręka powyżej łokcia nieznośnie ją bolała.

— Obrzydliwiec! — szeptała Nineczka. — Ja ci tego nie daruję!

Zakryła maszynę, ubrała się i wyszedłszy z zakładu, stanęła na trotoarze.

Zamyśliła się:

— Do kogoż mam iść? Pójdę do adwokata.

II.

Adwokat Języcznikow przyjął Nineczkę zaraz i wysłuchał ją uważnie.

— A to niegodziwiec i do tego jeszcze stary! Cóż panienka teraz chce zrobić? — łagodnie zapytał adwokat Języcznikow.

— Czyby nie można go posłać na Sybir? — spytała Nineczka.

— Na Sybir nie można. Ale można go pociągnąć do odpowiedzialności.

— To proszę go pociągnąć.

— Czy ma panienka świadków?

— Ja sama jestem świadkiem — odpowiedziała Nineczka.

— Nie, panienka jesteś poszkodowaną. Lecz jeżeli nie było świadków, to może są ślady przemocy?

— Oczywiście że są. On się dopuścił na mnie niegodziwego gwałtu, chwycił mnie za

ramię! — Na pewne tam będę miała teraz si-
niec.

Adwokat Języcznikow w zamyśleniu popa-
trzył na wspaniały biust Nineczki, na czerwone
wargi i różowe policzki, po których toczyła się
łezka.

— Niech pani pokaże ramię! — rzekł adwokat.

— O tu, pod bluzką.

— Trzeba, aby panienka zdjęła bluzkę.

— Przecież pan nie lekarz, ale adwokat —
zdziwiła się Nineczka.

— To nic nie znaczy. Funkcye adwokata
i lekarza są tak bliskie sobie, że często się mie-
szają. Czy panienka wie, co to jest „alibi“?

— Nie, nie wiem.

— Otóż to to właśnie. Dlatego, aby ustalić
istotę przestępstwa, muszę przedewszystkiem
stwierdzić „alibi“ panienki. — Proszę zdjąć
bluzkę.

Nieczka mocno pokraśniała i westchnawszy,
poczęła niezręcznie rozpinać guziczki i spu-
szczać z jednego ramienia bluzkę. Adwokat jej
pomagał.

Gdy się pokazało różowe, sprężyste ramię
Nineczki z dołeczkiem na łokciu, adwokat do-

tknął palcami zaczerwienionego miejsca na tle blado-różowego ramienia i rzekł:

— Wybacz panienka, że muszę zbadać. Niech panienka podniesie w górę rękę. A to co jest? Piers?

— Nie dotykaj mnie pan — krzyknęła Nineczka. — Jak pan śmie!?

Drżąc całą, chwyciła bluzkę i zaczęła ją spiesźnie wdziewać.

— Czego się pani obraża? Ja powinienem jeszcze stwierdzić w okolicznościach powody...

— Pan jesteś zuchwalec! — przerwała mu Nineczka i, trzasnąwszy drzwiami, wyszła.

Idąc ulicą, mówiła sama do siebie:

— I po co ja poszłam do adwokata?... Trzeba mi było wprost iść do doktora. Najlepiej zrobię, jak pójdę do doktora. Niech mi da świadectwo niegodziwego gwałtu.

III.

Doktor Dubiago był to solidny, starszy człowiek. Okazał Nineczce gorące współczucie, wysłuchał ją, nawymyślał na naczelnika biura, na adwokata i potem rzekł:

— Proszę się rozebrać!

Nineczka zdjęła bluzkę, ale doktor Dubiago zatarł fachowo ręce i dodał:

— Niech się panienka z łaski swojej całkiem rozbierze.

— Na cóż się mam cała rozbierać? — oburzyła się Nineczka. — On mnie chwycił za rękę. Ja panu też rękę pokażę.

Doktor oglądając figurę Nineczki, jej młocno-białe ramiona i rozłożywszy ręce, rzekł:

— Bądź co bądź trzeba się całkiem rozebrać. Ja muszę spojrzeć na panienkę retrospektywnie. Pozwoli panienka, że jej pomogę.

Nachylił się ku Nineczce, oglądając ją krótko wzrocznymi oczami, ale po minucie Nineczka, machnąwszy ręką, zrzuciła mu z nosa okulary tak, że doktor Dubiago był pozbawiony na jakiś czas możności spoglądania nie tylko retrospektywnie, ale i zwyczajnie.

— Zostaw mnie pan w spokoju! Boże... Jacyż ci mężczyźni wszyscy beczelni!

IV.

Wyszedłszy od doktora Dubiaga, Nineczka trzęsła się od oburzenia i złości:

— Otóż to przyjaciele ludzkości! Intelligentni ludzie! Nie! Trzeba to zdemaskować, wyprowadzić na widok publiczny, napiętnować tych faryzeuszów, kryjących się pod nazwą dobrodziejów ludzkości.

Nineczka przeszła się kilka razy po trotuarze i nieco się uspokoiła, postanowiwszy pójść do dziennikarza Gromowa, który zażywał dużej popularności i znany był jako człowiek porządny i nieposzlakowanie czysty, gnębiący nieprawdę dwa do trzech razy w tygodniu.

Dziennikarz Gromow przyjął Nineczkę z początku niezbyt uprzejmie, ale potem, wysłuchawszy jej opowieści, był silnie przejęty jej przygodami.

— Ha! Ha! — zaśmiał się gorzko. — O! Macie tych dobrych ludzi, których zadaniem leczyć rany i łagodzić bóle cierpiącego człowieka. Macie piastunów prawa i obrońców uciśnionych i pokrzywdzonych, macie tych, których dewizą: Sprawiedliwość! Ludzi, z których powłoka kultury spada przy najdrobniejszym zetknięciu się z życiem! Dicz, dotąd jeszcze żywiąca się mięsem ludzkim... Ha! Ha! Poznają ja was...

— Czy mam zdjąć bluzkę? — nieśmiało spytała Nineczka.

— Bluzkę? Po co bluzkę? A zresztą... może panienska zdjąć bluzkę. Ciekawa rzecz zobaczyć te ślady... hm... kultury.

Ujrzawszy gołą rękę i ramię Nineczki, Gromow zachmurzył się i pokiwał głową.

— Jednakowoż... Ależ to panienska ma rączki! Godzi się też to wystawiać na pokuszenie ludzi takie aparaty? Odziewajże to panienska. — Albo.. poczekajno... Czem to tak pachnie? A jakbym ja to tu pocałował.. tu w zgięciu? Co? Hm... Przyzna panienska, że jej to żadnej szkody nie zrobi, a dla mnie będzie to nowem, ciekawem wrażeniem, które..

Gromowi nie było danem zdobyć nowego ciekawego wrażenia. Nineczka kategorycznie odmówiła pozwolenia na pocałunek, ubrała się i wyszła.

Idąc do domu, uśmiechała się przez łzy:

— Boże! Jacyż ci wszyscy mężczyźni zachwalcy i... durnie!

V.

Wieczorem Nineczka siedziała w domu i płakała.

Potem, jako że ją koczyło opowiedzieć komukolwiek o swoim zmartwieniu, więc się zebrała i poszła opowiedzieć do sąsiada, mieszkającego obok niej w meblowanych pokojach, studenta wydziału przyrodniczego, Ichniewmonowa.

Ichniewmonow dzień i noc grzebał w książkach i zawsze widziano go nachylnego piękną, bladą twarzą nad zadrukowanymi papierami, za co go Nineczka, żartując sobie z niego, nazywała profesorem.

Gdy Nineczka weszła, Ichniewmonow podniósł od książki głowę, odgarnął włosy i powiedział:

— Witam Nineczkę! Jak ona chce herbaty, to tam leży szynka i jest herbata, a Ichniewmonow doczyta tymczasem do rozdziału.

— Mnie dziś pokrzywdzono — siadając skromnie, przemówiła Nineczka.

— No! Kto?

— Adwokat, doktor... jeden stary. Takie zachwalce!

— W jaki sposób oni Nineczkę pokrzywdzili?

— Jeden mi zgniótł ramię, że aż zesiniało, a inni oglądali i zaczepiali...

— Tak — obracając kartkę, rzekł Ichniewmonow — to niedobrze.

— Mnie tak ręka boli — żałośnie mówiła Nineczka.

— A to łajdaki! Pij Nineczka herbatę!

— Pewnie — boleśnie uśmiechnęła się Nineczka. — Pan też zechce obejrzeć rękę, jak oni.

— Po cóż ja mam oglądać ją — zaśmiał się student. — Że jest siniec, to? Nineczce wierzę...

Nieczka zaczęła pić herbatę. Ichniewmonow przerzucił kartki książki.

— Do tej chwili ręka mnie pali, — narzekała Nineczka. — Możeby trzeba coś przyłożyć?

— Nie wiem.

— Może panu pokazać to ramię? Ja wiem, że pan nie taki, jak inni. Ja panu ufam.

Ichniewmonów wzruszył ramionami.

— Na co sobie robić subjekcyę... Gdybym był medykiem... tobym poradził. Ale ja tylko przyrodnik.

Nieczka zagryzła wargi, a wstając, z uporem rzekła:

— A mimoto, niech pan obejrzy!

— Niech będzie!.. Pokazuj panienko to ramię... Nie niepokój się panienko, spuść tylko z ramienia bluzkę.. Tak. To? Hm... Rzeczywiście

jest siniak. Jacy też ci mężczyźni! Ale to zresztą szybko minie.

— Ichniewmonow współczująco kiwnął głową i siadł znowu za stołem.

Nineczka siedziała milcząca, zwiesiwszy głowę a ramię jej gołe matowo się bielilo przy świetle ubogiej lampy.

— Wdziałaby panienka rękaw, — radził Ichniewmonow. — Tu dyabło zimno.

Serce Nineczki się skurczyło.

— On mnie jeszcze i w nogę pod kolaniem uszczypnął, — przemówiła Nineczka niespodziewanie po długim milczeniu.

— A to łotr! — kiwnął głową student.

€ — Pokazać?

Nineczka przygryzła wargi i chciała podnieść spodniczkę, ale student łagodnie rzekł:

— Ale pocóż? Będzie Nineczka musiała zdejmować pończochę, a tu od drzwi dyabło ciągnie. Jeszcze się panienka zaziębi i dopiero będzie. Bóg mi świadkiem, że na tej medycynie ani w ząb nie znam się wcale, ani dudu, jak to mówi nasz poczciwy ludek. Pij panienka herbatę!

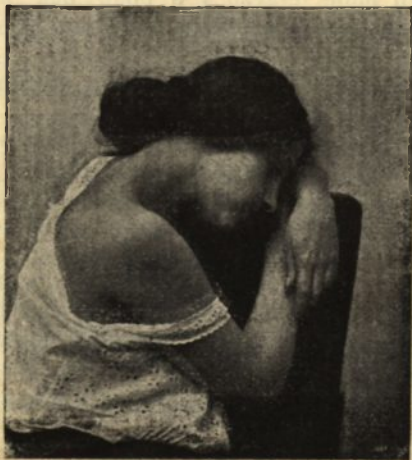
Zagłębił się w czytanie. Nineczka posiedziała jeszcze trochę, westchnęła i pokiwała głową.

— Pójdę sobie już. Moja gawęda panu tylko przeszkadza w robocie.

— Ale gdzieżtam, co też panienska mówi, — odpowiedział Ichniewmonow energicznie, trzęsąc na pożegnanie rękę Nineczki.

Przyszedłszy do swojego pokoju, siadła Nineczka na łóżku, a spuściwszy oczy, jeszcze raz powtórzyła:

— Jacy ci wszyscy mężczyźni... niepoczciwi!



LUDZIE.

LUDWIG



Iwan Wasyliewicz Sycylistow podniósł się na jednym łokciu i nasłuchiwał.

— To do nas — rzekł do drzemiącej już żony. — Nakoniec!

— Idź im otwórz. Zmoczonym na deszczu niezbyt przyjemnie czekać na schodach.

Sycylistow powstał i na pół ubrany szybko przeszedł do przedpokoju. Otworzywszy drzwi, wyjrzał na schody.

Twarz mu się rozpląnęła w szerokim, radosnym uśmiechu.

— Ba! Ba! A ja już przedwczoraj oczekiwa-

łem i wczoraj. Cieszę się. Bardzo się cieszę!
Bądźcie łaskawi, proszę do naszego szataśu.

Przed innymi idący żandarmski oficer zamru-
gał od bijącego go w oczy światła. Twarz jego
wyrażała najszczerze zdziwienie.

— Pardon!... Ale pan prawdopodobnie nie
pojmuje... My tu przyszli na rewizyę!

Gospodarz śmiać się zaczął, tak, że aż się
zakaszłał.

— Oryginał!... Odkrył Amerykę! Przecież nie
przypuszczam, żebyście do mnie szli na prefe-
ransa! — I wesoło zakrzatnął się koło przyby-
łych.

— Pozwól pan palto... Trudno panu zdjąć.
Oj, jak to to namokło! Zaraz panom poświecę.
Ostrożnie, bo próg.

Żandarmski oficer i przystaw ze zdziwieniem
popatrzyli po sobie i pierwszy z nich, postąpiw-
szy, rzekł niezdecydowanie:

— Pozwól pan, że zaczniemy. Oto polecenie
na piśmie.

— Nie, nie, nie! Ani nie myślcie! Tak zde-
szczu, z mokremi nogami odrazu do roboty. Nic
łatwiejszego, jak kataru napytać. Musimy się
najprzód przedtem zaasekurować! Pismo może-

cie ciotce podarować, bo czyż to porządny człowiek nie może już wierzyć drugiemu porządnemu człowiekowi bez pisma. Siadajcie panowie. Przepraszam — ale jakie jest imię i nazwisko ojca?

Oficer wzruszył ramionami w stronę uśmiechającego się między wasami przystawa i rzekł, starając się nadać swoim słowom lodowaty ton:

— Będący urzędowo wydelegowanym do przeprowadzenia rewizyi...

Gospodarz na to zamachał rękami...

— Wiem, wiem!! Ach, mój Ty Boże... a czyż wam to rewizya ucieknie? Czy ja to nie wiem! Sam dopomogę! Ale pocóż się mamy wyzbywać dobrych ludzkich stosunków? Nieprawdaż?.. Zda je się pan Nikodem Iwanowicz? Co? Ha! ha! Wiem! Wiem! I nigdy nie zgadniecie skąd?! Na denku czapki pańskiej w przedpokoju wyczytałem!! Ha! Ha! Ha! Tak, tak, Lizoczko!! (To moja żona. Najpocziwsza kobieta! Zapoznam was). Lizoczka daj nam czego — żeby się panowie oficerowie po tym deszczu rozgrzali... Nie! nie!.. Odmówicie — to mnie śmiertelnie obrazicie!

Z sąsiedniego pokoju wyszła bardzo ładna kobieta. Poprawiając mimochodem przepyszne włosy, uśmiechnęła się i rzekła, przymrużając zaspane oczka:

— Odmówić mężczyźnie to jeszcze można, ale damie — fui! Toby było nie po dżentelmańsku.

Mąż przedstawił:

— Moja żona, Elżbieta Grigoriowna — Nikodem Iwanowicz! Pan Prystaw... przepraszam, ale nie mam zaszczytu.

Prystaw tak się zmięszał na widok wchodzącej piękności, że wstał, trzasnął obcasami i uroczyście głośno zarekomendował się:

— Krutiłow Walerian Piotrowicz!

— Ach, co pan mówił? Bardzo się cieszę. Mój syn jeden Wala się nazywa. Lukierya!

Kucharce, która na to zawołanie weszła, poleciała:

— Weź tam żołnierzy i pachółków do kuchni! Piróg przygrzej, wyjm kiełbasy i ogórków... Wódki tam, zdaje mi się, jest jeszcze półciwartówka... Jednym słowem zajmij się nimi... A ja tu zajmę się szanownymi panami!

Uśmiechnąwszy się do zjadającego ją oczami prystawa, wybiegła.

Żandarmski oficer oszołomiony otworzył gębę i zaczął:

— Wybaczcie, ale...

Za ścianą dał się słyszeć łopot, szuranie, dziecinne głosy i do pokoju wpadło dwóch rozbawionych urwiszów lat pięciu, sześciu.

— Rewizya! Rewizya! U nas rewizya! — Wyśpiewywali w takt skoków, takim tonem, jakby się cieszyli z przyniesionego im piroga.

Jeden przytupując bosemi nożynami, podbiegł do oficera i chwycił go za palec.

— Witam! Pochuśtaj mnie na nodze tak: Hop! Hop!

Ojciec usprawiedliwiająco pokiwał głową.

— Ach, wy expropriatorzy! Wybacz mi pan. Tak mi ich w Odessie rozpuścili. Rewizye bywały u mnie nieomal po dwa razy na tydzień, a dla nich większej nad to przyjemności niema. Poprzyjażnili się ze wszystkimi., czekoladki im przynosili, zabawki...

Widząc, że malec wyciąga buzię do jego rzych wąsów, nachylił się żandarmski oficer i ucałował go.

Drugi siedział jak na koniu, na kolanie pry-

stawa, a rozpatrując się w tegoż galonach, poważnym tonem pytał:

— Ileż ty masz gwiazdek? A szabla się wyjmuje? W Odessie to ja sam wyjmowałem. Jak Bożię kocham.

Wchodząca z tacą, na której stały różnokolorowe butelki i zakąski, matka niby też to surowo mówiła:

— Ileżem cię to razy uczyła, że przysięgać się to grzech! On się panu naprzykrza, zrzucze go pan z nogi.

— Nie szkodzi! I owszem! A jakże ci na imię, szcurku? Co?

— Micio! A tobie?

Prystaw się roześmiał.

— Mnie Wala. Będziemy teraz już znajomi.

Matka, śmiejąc się do gości, nalewała w kieliszki koniak, a podsuwając oficerowi kawior, mówiła:

— Proszę bardzo. Proszę się rozgrzać. Tak nam przykro, że z powodu nas fatygowaliście się panowie w taką fatalną pogodę.

— Wala! Daj mi kawiora — żądał Micio, ciągnąc za guzik od surduta prystawa.

W godzinę potem żandarmski oficer, podparty na łokcin, palił cygaro, jakim go poczęstował gospodarz i słuchał.

— Rozbieżność zapatrywań — objaśniał gospodarz — między partją umiarkowanych a nami polega głównie w zagadnieniu taktycznym... Dlatego nasze zapatrywania na terror...

Chustając na rękach uśpione dziecko i starając się, by nie rozbudzić malca, starał się przystaw tak usiąść, by światło lampy go nie drażniło.

Pachołek miejski Charłampow ślinił gruby palec, a potem trzaskając kartą w stół, mówił:

— A to my tu waszego króla przebijemy. Teraz — chłopiec — prync, a wy, pani, Lukieryo Adamowno — zostaniecie królową... Tak, coś na podobieństwo angielskiej Wiktoryi... He, He!...

Lukierya zaletnie uśmiechała się, nalewając piwo w szklanki.

— Jakie ci to ma wymysły ten... taki... Nie darmo to o was mówią — biurokrata!



JAK SPRZEDAŁEM ROSYĘ...

JAK SPRZEDYLEM ROSYI



I.

Nie tak dawno „Ruskoje Znamia“ *) zdema-
skował działalność gazety „Riecz“. „Ruskoje
Znamia“ dowiodło, że powyższa gazeta jawnie
i bezczelnie sprzedaje Rosyę Finlandyi, za co,
rzekomo, otrzymuje wielkie sumy rubli...

A już bardzo niedawno bezlitośnie oślepiają-

*) Organ czarnej sotni rosyjskiej. (Przyp. tłóm.).

cy projektor „Ruskiego Znamienia“ przeszedł z gazet na osoby prywatne, natrafił na mnie, oświetlił wszystkie moje niecne sprawy i przestępstwa i ujawnił, że ja, jako „zżydziały dziennikarz“ również jestem przekupiony i sprzedaję swą ojczyznę hurtem i detalicznie, systematycznie prowadząc ją do upadku i zguby..

Przekonawszy się, że zostałem zdemaskowany, początkowo usiłowałem wykreścić się, zataić swój udział w tych sprawach, zatuszować w jaki sposób fakta, które głosem wołającym o pomstę przemawiają do mnie, ale — już dziś jest to wszystko jedno — wcześniej czy później wszystko na wierzch wypłynie i dla mnie będzie to jeszcze cięższem, jeszcze bardziej haniebnem.

Ot, już lepiej opowiem sam, jak było.

Dobrowolne przyznanie się — to wszystko, co może — jeżeli już nie ocali mnie, to przynajmniej, choć trochę, zmniejszy moją winę..

Sprawa miała się tak:

II.

Razu pewnego służąca zakomunikowała mi, że ze mną chcą się widzieć dwaj jegomości w bardzo ważnej sprawie.

— Co zacz? — zapytałem.

— Zdaje się, że cudzoziemcy. Jeden taki szczupły blondyn, a drugi mały, krzywooki, czarny. Nie inaczej, tylko Japończyk.

Dwaj jegomości weszli i obrzuciwszy podejrzany wzrokiem pokój, przedstawili się.

— Czem mogę służyć?

— Jestem delegatem poselstwa japońskiego, marszałkiem Ocupa — rzekł brunet.

— A ja — rzekł blondyn, niedbale igrając fińskim jataganem — jestem pełnomocnikiem fińskiej partii rewolucyjnej „Wojna“. Nazywam się Mulajnen.

— Słucham panów — skinąłem im uprzejmie głową.

Marszałek trącił sąsiada łokciem, schylił się ku mnie i badawczo patrząc mi w oczy, szepnął:

— Powiedz pan... Czy nie zgodziłby się pan.. sprzedać nam Rosyę?

Ojciec mój był kupcem, skutkiem czego pozostała mi po nim na całe życie dziedzicznie przekazana żyłka handlowa.

— To zależy... — rzekłem. — Owszem, sprzedać możnaby. Dlaczegożby nie sprzedać! Ciekawym tylko, jaką podacie cenę?

— Cenę podamy bardzo dobrą — odparł marszałek Ocupa. — Nie obrazi się pan z pewnością. Tylko nie stawiaj pan wygórowanych żądań.

— Przeceniać nie będę — wzruszyłem obojętnie ramionami. — Tylko proszę wziąć pod uwagę, co panom sprzedaję. Zgódźcie się bowiem sami, że nie jest to worek kartofli, a cała olbrzymia kraina. I, w dodatku, głęboko przeze mnie kochana!

— No, no, zaraz olbrzymia kraina!... — ironicznie uśmiechnął się Mulajnen.

— Naturalnie! Kraina wielka! — zawołałem z zapałem. — Pewno, że większa od pańskiej! W każdym razie... Ponad pięćdziesiąt gubernij, dwie stolice, a jakie rzeki! A jakie koleje! Olbrzymia ludność uprawiająca rolnictwo! Znajdź pan taki kraj na świecie, kiedyś taki mądry!

— Tak to tak... — przerwał Japończyk, zamieniwszy spojrzenie z Mulajnenem — ale przecież przyzna pan, że kraj ten zrujnowany doszczętnie biurokracją, jedna wielka nędza...

— Jak się panu podoba — odparłem chłodno. — Nie podoba się wam — to nie kupujcie!

— O, nie, my byśmy, pomimo wszystko, ku

pili... Kraj ten przyda się nam... Podaj pan swoją cenę...

Wziąłem do ręki ołówek, przysunąłem arkusz papieru i począłem długo i starannie obliczać. Potem podniosłem z nad arkusza głowę i rzekłem stanowczo:

— Dziesięć milionów.

Obadwaj zerwali się z krzesel i jednogłośnie zawołali:

— Dziesięć milionów?

— Tak.

— Za Rosyę?

— Tak.

— Dziesięć milionów rubli?

— Tak. Właśnie dziesięć. Ani fenigów, ani franków, a rubli.

— Toż to waryacka cena!

— Sami jesteście waryaci! — zawołałem gniewnie. — Taką krainę za dziesięć milionów, to prawie darmo! Za te pieniądze dostaniecie prawie dziesiątek mórz, setki rzek, setki kolei żelaznych. Nie zapominajcie także, że za tę sumę dostajecie także Syberyę — tę najbogatszą na świecie krainę!

Marszałek Ocupa słuchał, przymrużywszy oczy. Rzekł:

— Chcesz pan pięć milionów?

— Pięć milionów?! — zaśmiałem się. — A panbyś jeszcze z pięć rubli dodał. Zresztą, jeżeli pan chcesz, to mu za pięć milionów oddam Rosyę, tylko inną...

— Nie, nie — pokręcił głową Finlandczyk. — Tej, to i za pięć kopiejek nie trzeba... No, no, chcesz pan siedm milionów, aui grosza więcej?

— Dziwi mię to bardzo, że panowie jeszcze targujecie się — obruszyłem się dotknięty. — Kupujecie to, co jest najdroższem dla każdego szczerego patryoty i... jeszcze targujecie się.

— Jak pan chcesz — rzekł Mulajnen, podnosząc się. — Chodźmy, Ocupa!

— Czekaście, no.. — zawołałem. — Czekaście. Tak czy owak, milion opuszczam. Chociaż nie wypadałoby, gdyż kraina warta tego. Mógłbym łatwo za tę cenę znaleźć nabywcę. Ale, dla dobrego początku, milion opuszczam...

— Trzy opuść pan!

— Daj pan rękę! — rzekłem, bijąc po wyciągniętej dłoni. — Ostatnie słowo: dwa miliony opuszczam! Za ośm. Zgoda?

Japończyk przytrzymał moją dłoń i ze skupieniem zapytał:

— Z Polską i Kaukazem?

— Z Polską i Kaukazem!

— Zgoda! Kupione.

Serce mi ścisnęło się bólem...

— Sprzedane! — zawołałem, sztucznem ozywieniem usiłując zamaskować ciężkie uczucie. — Bierzcie!

— Jakto... bierzcie? — ze zdumieniem spojrzał na mnie Ocuca. — Co znaczy: bierzcie? My płacimy panu pieniądze, głównie, abys pan swymi feljetonami zgubił Rosyę!

— A to na co wam potrzebne? — zdziwiłem się.

— To już nie pańska rzecz. Dość, że potrzebne. A zatem — zgubi pan?

— Dobrze, zgubię.

III.

Nazajutrz, późno wieczorem, pod mój dom podjechało kilka wozów i jacyś ludzie, stękając, poczęli wnosić do mego mieszkania, ciężkie, po brzegi nabite, wory.

Służąca moja, przyglądała się robocie, zapi-

sując ilość worów ze złotem, przyczem przy-
łapała jednego z ludzi, gdy chciał wyciągnąć
z worka sto czy dwieście tysięcy; ja zaś siedzia-
łem podczas tego przy biurku i pisząc jeden za
drugim feljetony — dobrowolnie gubiłem sprze-
daną przeze mnie ojczyznę..

IV.

Teraz, kiedym już skończył swoją szczerą
spowiedź — lżej mi na sercu. Tak, jestem nę-
dznik, handlarz, Judasz-zdrajca, który sprzedał
ojczyznę.. Ale ośm milionów — ha, ha! —
ośm milionów w kieszeni — to nie w kij dmu-
cha!

I teraz, wśród nocnej ciszy, gdy budzę się,
targany dziwnymi widmami — przedemną po-
wstaje i niepokoi mię jedno tylko straszne, wi-
dmowe pytanie:

— Czy aby nie za tanio?



BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROSYJSKA HISTORIA.

ROSYJSKA HISTORIA



I.

Pewien rosyjski student zginął przez to, że kochał botanikę. Poszedł w pole zbierać rośliny. Szedł sobie, podśpiewywał i rwał kwiatki.

A z drugiej strony pola zjawiała się kupa chłopów i bab z Niżnej Gołolewki.

— Pozdrawiam was, kochani włościanie — przemówił grzeczny student, zdejmując czapkę i kłaniając się.

— Pozdrawiamy cię, szczupaczy synu, żeby cię sparto! — odpowiedziały chłopcy. — Czego tu chcesz?!

— Dziękuję. Niczego nie chcę — mówił student, schylając się i zrywając jakąś trawkę.

— Czego tu chcesz?!

— Jak widzicie, zatrudniam się herbaryzacyą.

— Czego tu chcesz?!

Ucho studenta ułowiło nakoniec szczególny ten w upartem zapytywaniu się chłopów. Popatrzył na nich i zobaczył rozgorączkowane strachem i złością oczy, blade twarze i brudne żylaste pięście.

— Czego tu chcesz?!

— Cóż wy sobie myślicie, bracia kechani.. Jeżeli wam żal tego kwiecica, to ja i owszem oddam wam wasze kwiatki...

Wtedy wyszedł z pośrodku chłopów najmądrzejszy z nich, starzec, Piotr Sawielicz Nieuważ-Koryto. Był to staruszek biały jak księżyc i głupi jak pień.

— Kwiatki zbierasz parszywcze — zachrypło przemówił mądrzejszy. — Łże on, dziatki! On cholere rozpuszczał!

Autorytet starców białych, jak księżyc, a głupich, jak pień, zawsze wysoko był uważany między chłopstwem.

— Słusznie mówi Sawielicz! Brać go bracia.. Zachodź mu od lewej strony.

Student zapłakał.

— Piszczy! Piszczy jeszcze, djabli syn! Myślisz, że może djabeł, twój ojciec przyjdzie ci

w pomoc. Obszukaj no go, wujaszku Minia!
Czy nie ma jakiego proszku?!

Znalazł się proszek.

Chociaż to był proszek do zębów, to, gdy czyszczenie zębów u włościan we wsi Gołolewki odbywało się wszystkiego raz w tydzień w rządowym szynku i to sposobem najprymitywniejszym, kulturalna zdobycz znaleziona w kieszeni studenta, zawinięta w papier, stwierdziła w zupełności w oczach chłopów zbrodniczość studenta.

— O, jest proszek! Choleryczny! Jak sądziacie, rabiata: utopić chłopca, czy tak go rozdeptać?

Obie perspektywy okazały się na tyle nieęcącemi dla studenta, że przemówił:

— Cóż wam się zdaje, moi panowie!? Taż to poprostu proszek do czyszczenia zębów... Zupełnie nieszkodliwy. Jeżeli chcecie, to ja go zjem. Co?

— Kłamiesz! Nie zjesz!

— Zapewniam was! Zjem i nic mi się złego nie stanie.

— Wszystko jedno, bracia, od czego zginie. Niech zeźre!

Student usiadł wpośrodku zwanego koła i począł żarliwie zjadać proszek do zębów.

Więcej czule baby, patrząc na to, płakały serdecznie i poszeptywały między sobą:

— Taką ci bolesną śmierć sobie sprowadzał! Taki młodziutki... i bez skruchy.

— Wszystko! — rzekł student, pokazując pustą torebkę.

— Zjedz i papierek — zawyrokował Piotr Sawielicz, biały jak księżyc, a głupi jak pień.

Według wiadomości z gazet, — karmienie studenta wstrzymano po proszku do czyszczenia zębów, poczem go jakoby puszczono na wolność.

W rzeczywistości jednak nie było tak. Student, krzywiąc się, przełknął wypróżnioną torebkę, poczem dalej go rewidowano. Znaleziono notes, szczoteczkę do zębów i flaszeczkę z gumą arabską.

— Jedz to! — rozkazał dysponent niepożądanego studenckiego obiadu — Nieuważaj-Koryto.

Student chciał podziękować, twierdząc, że już jest syty, gdy jednak zobaczył zbliżające się ku sobie zdecydowane brodate twarze, wtedy

bez wymawiania się zabrał się do notesu. — Skończywszy z nim, rozgryzł na drobno silnymi młodzieńczymi zębami szczoteczkę, popił gumą arabską i uroczyście rzekł:

— Widzicie panowie? Czy miałem rację, twierdząc, że to rzeczywiście nie niebezpieczne przedmioty?

— Widoczna rzecz — odpowiedział dobroduszy chłop nazwiskiem Krowia-Cegła. — Niepotrzebnie skubenta okrzywdzili!

— Ciemnyście wy naród! — rzekł student, wzdychając.

Trzeba było nawymyślawszy chłopów pożegnać się z nimi i iść dalej, ale studenta zgnębiło to, że był inteligentem do szpiku kości.

— Ciemnyście wy naród — powtórzył. — Czy wiecie wy na przykład, że epidemia cholery rozprzestrzenia się nie przez proszki, ale przez takie malenieczkie kawałeczki, które bywają w wodzie na jarzynach i na owocach, tak zwane wiriony, tak maleńkie, że na kroplę wody idzie ich o wiele więcej, jak kilka tysięcy.

— Wytlómacz no się! — niedowierzająco zawołał Piotr Sawielicz, ale gdzie niektórzy porobili miny, jakby uwierzyli.

Wogóle nastrój był na tyle przychylny, że wybaczyli studentowi nawet jego twierdzenie, jakoby piorun pochodził od elektryczności i że chmury są następstwem parowania wód przenieszonego wiatrem z jednego miejsca na drugie. Głuchy pomruk powstał tylko po twierdzeniu oczywiście niesłychanego faktu, że księżyc sam nie świeci, ale tylko oddaje światło słońca.

Gdy student osmielił się bezczelnie twierdzić, że ziemia jest okrągła i że obraca się około słońca, wtedy tłum chłopów zwałił się nań i począł go bić...

Bili go długo, a potem utopili w rzece.

Dlaczego to gazety przemilczały — nie wiadomo.

II.

Wypędzony za pijaństwo telegrafista Waśka Świszcz długo wałęsał się po przystanku, szukając jakiegobądź wyjścia ze swojego ciężkiego położenia.

I zupełnie niespodziewanie znalazł wyjście w postaci pomiętej kokardy, zgubionej między szynami przez jakiegoś przechodzącego tamtędy oficera.

— Do roboty! — powiedział sobie Waśka Świszcz.

Przypiął do swej telegrafistycznej czapki oficerską kokardę, wdział tużurek, najął wózek i, rozparłszy się w nim, zakomenderował:

— Jazda do wsi Niżnej Gołolewki! Żywo! Tam zapłace.

Słabo dzwoniąc trzęsidłami, zajechała trójka przed chałupę starosty. Waśka Świszcz elastycznie wyskoczył z kubitki, a trzasnąwszy w ucho zmieszanego jego paradnym wyglądem przechodzącego mimo chłopą, krzyknął:

— Mierzawcze!! Zamknąć każe! Naczalstwa nie widzisz?! Rozpuściliście się! Wołaj mi tu starostę!

Zestraszony, przerażony wybiegł starosta.

— Czego chcecie ojcze?

— „Ojcze?“ Ja ci tu kanalio pokażę „ojca!“ Nie widzisz generała? Tu, kto w kubitce jedzie? Ktoś ty? Czapkę trzeba zdjąć, czy nie? Jak się zowiesz?

— Kro... Krowia Cegła.

Telegrafista zachmurzył się i trzasnął kuliakiem w zęby zmieszanego Krowią Cegłą.

— Starosta! Wziąć go! Później się z nim za-

łatwie. Ja wam pokażę!!! Rozpuściliście się tu? Starosta! Zgromadź mi chłopów natychmiast, papier przeczytam!

W przeciągu dziesięciu minut wszyscy chłopci Niżnej Gołolewki zgromadzili się jak szara, przestraszona chmura.

— Cicho! — wrzasnął Waśka Świszcz, występując naprzód. — Pismo takie: Na skutek odezwy cesarskiej komisji intendantury sanitarnych wzorów z przyłożeniem takowej pieczęci, po porozumieniu się z oddziałem emerytur publicznej biblioteki, pobrać ze wszystkich włościan po dwa ruble i dziesięć kopiejek należytości trotoarowych i wniesienia tychże do Sankt Petersburga do mirowego zjazdu. Zrozumieliście rebiata. Winni uchylecia się od tego podlegną karze zamknięcia w twierdzy do dwóch lat z zamianą kary do rubli srebrem 500. Zrozumieliście?

— Zrozumieli, wielmożny panie! — wyszeptwały wargi chłopskie.

— Wielmożny?! — ryknął telegrafista. — Mierzawcy!!! Kokardy to nie znacie? Postanowień cesarskiego urzędu o heraldyce nie czytaliście?! Starosta! Wziąć tego! I tego! Niech

posiedzą! Jak cię zowią? Nieuważaj-Koryto?
Wziąć go!

W godzinę potem starosta z pokłonami wszedł do izby, położył przed telegrafistą pieniądze i rzekł nieśmiało:

— Możeby... niby co się tycze papieru... popatrzećby... Co do pieczęci...

— Osioł!! — warknął telegrafista, wsunął do kieszeni pieniądze, grubiańsko odepchnął zmieszanego starostę, a wyszedłszy na dwór, wskoczył do kibitki.

— Ja wam pokażę, łajdaki! — pogroził telegrafista staroście i znikł w obłokach kurzu.

Mądrzejszy z chłopów, Piotr Sawielicz Nieuważaj-Koryto, biały jak księżyc, a głupi jak pień, podszedł ku staroście i rzekł:

— Ze samego Petersburga. To zaraz poznać! Taniośmy wyszli chłopcy!



CZWARTEK.



CZWARTEK



O ósmej wieczorem zajechał Lapisow do Andromachskiego i spytał:

— Pojedziesz do Pylinkinowych?

— Jakto? — odrzekł z grymasem Andromachski, — czy to dzisiaj czwartek?

— A czwartek. Tyle czwartków u nich bywałeś i jeszcze nie możesz pamiętać.

Andromachski uśmiechnął się sarkastycznie.

— Za to wiem dokładnie, co tam będziemy robili. Jak wejdziemy, pani Pylinkina zrobi radosno-uprzejmą twarz: „Boże! Andrzej Pawłowicz! Paweł Iwanowicz! Jak to uprzejmie ze strony panów!

Co tu uprzejmego? Co uprzejmego? Może to, że zjawiamy się wszystkiego raz na tydzień, czy też, że wszedłszy, nie rozpędzamy od razu przy użyciu kopnięć wszystkich jej głupich gości?

11000
BIBLIOTEKA
M. S. P.

„Proszę siadać. Filiżankę herbatki?

— Och! Ta herbatka! A potem zaczyna się: „Byli panowie na odczycie o Wedekindzie?“ A te przekłete odczyty trzeba wam wiedzieć, bywają prawie codzien! „Nie, odpowiadamy, nie byliśmy. „Nie byliście panowie?“ „Jakże tak można?“. Nie wypadaloby potem jak tylko paść przed nią na kolana, zapłakać i rzec: „Wybacz pani, że nie byłem na odczycie o Wedekindzie. Całe moje życie poświęcę na to, aby odpokutować ten grzech. Dzieciom moim przykażę, aby bywały po dwa i trzy razy na Wedekindzie, kucharkę zamiast do kinematografu, będą posyłał na Wedekinda a na łożu śmierci całe moje mienie zapiszę profesorom, wykładającym o Wedekindzie.

Lapisow uśmiechnął się.

— Nie, tego nie powiesz!

— Pewnie, że nie powiem. W tem właśnie zgroza, że nie powiem. I jeszcze w tem zgroza, że i ona i wszyscy goście natychmiast i najzupełniej zapominają o Wedekindzie, o odczytach i z gorączkową ciekawością przerzucają się do jakiejś bosonogiej: „Widzieliście panowie nową bosonogą tancerkę? Mnie ona się

podobała“. A drugi osioł powie: „Mnie się nie podobała“. Trzeci zaś odpowie: „Nie mów pan tak! To taniec przyszłości i mnie się to podoba. Jakem był w Berlinie to w kafeszantanie... “ „Ach, przerwie mu żartobliwie pani Pylinkina, wam mężczyznom to tylko kafeszantany!“ Naturalnie trzebaby jej odpowiedzieć: Tak, kafeszantany, a tobie tylko amanci, sami amanci! Filizankę herbatki z ciasteczkami! Co? Proszę bardzo! Czytał też pan rozprawę o Weiningerze?“ A herbacisko u niej, trzeba przyznać, ohydne a ciastka spleśniałe... I widać z tego, że już o bosonogiej zapomniano, taniec przyszłości przepadł bez śladu do przyszłego czwartku, rozprawa o kafeszantach trwała dwie minuty, a na jej miejsce wspaniale rozkwitła dyskusya o nowej sztuce teatralnej, która jednemu podoba się, drugiemu się nie podoba a trzeci objawia, że „taka sobie“. Ale czy on ją widział?! Zapewniam, że jej nie widział, smyk taki, cygan, po prostu cham!! A ty masz siedzieć, pić filizankę herbaty i gadać, że bosonoga ci się podobała, że nowa sztuka małe zrobiła wrażenie a kafeszan-

tany nudne, bo w nich wszystkie numery jednakie! Lapisow spojrzal na zegarek:

— Jednakowoż zaraz będzie dziewiąta!

— Natychmiast. W minutkę się ubiorę. Przecież tam dopiero o dziewiątej się schodzą... Za minutkę...

O dziewiątej Andromachski i Lapisow przyjechali do Pylinkinych. Pani Pylinkina zobaczywszy ich we drzwiach z radosną przejmnością wykrzyknęła:

— Mój Ty Boże! Paweł Iwanycz! Andrzej Pawlycz. Proszę, siadajcie panowie! Bardzo to uprzejmie ze strony panów, żeście przyjechali. Filizaneczkę herbatki? Co?

— Bardzo dziękuję. — Kłaniając się mile mówił Andromachski, i owszem.

— A myśmy z mężem myśleli, że spotkamy się wczoraj...

— Gdzie? — spytał Andromachski.

— Gdzieżby?! W Kole artystycznym. Grudastów miał odczyt o Przybyszewskim.

Na twarzy Andromachskiego osiadło zupełne przerażenie.

— To to było wczoraj?! Strasznie żałuję!

Przeoczyłem w gazecie i wyobraźcie sobie państwo, myślałem, że to będzie jeszcze nie tak prędko. Bo to ja teraz gazety wogóle powierzchnie przeglądam.

— Niema teraz w gazetach nic interesującego, odezwał się z kąta jakiś głos.

— Represye — westchnęła pani domu. — O wszystkim zabraniają pisać. Może filizankę herbaty?

— Bardzo proszę. — Ukłonił się Lapisow.

— Zaprenumerowaliśmy dwie gazety i żalujemy. Można było zaprenumerować jedną.

— No, czasem w gazetach można natrafić i na nieco interesujące... Nie czytaliście państwo w tych dniach, jak jakaś pani hypnotyzmem wydurzyła od właściciela domu trzydzieści tysięcy?

— A czy była ładna? — żartobliwie zapytał Andromachski.

Gospodyni kokieteryjnie zamachnęła się na niego serwetką.

— Ah! Ci mężczyźni! Im jedynie tylko ładna! Strasznieście wy moi panowie popsuty naród!

— O, nie — odrzekł Lapisow. — Weininger

twierdzi przeciwnie... On ma okropne wyobrażenie o kobietach.

— Są różne kobiety i różni mężczyźni, — dał się słyszeć z na pół ciemnego kąta pokoju ten sam głos który mówił, że w gazetach nie ma nic interesującego. Są porządne kobiety i porządni mężczyźni. Są źli tu i tam.

— Miałam ja jednego znajomego, przemówiła dama. Był kasyerem. Służył sobie ta i służył, no i nic. Aż poznał się z jakąś kokietą, roztrwonił rządowe pieniądze i uciekł do Anglii. Macie waszych mężczyzn!

— Ja jestem przeciwnikiem równouprawnienia kobiet! — odezwał się pan z gęstemi brwiami. — Co to ma być? Kobieta powinna być matką. Jej sferą... kuchnia!

— Za pozwoleniem — przerwała gospodyni. — Kobieta też człowiek, jak i mężczyzna! A nie pozwalają jej nic działać!

— Jakto nie pozwalają!? Na wszystko jej pozwalają! Oto jedna tu w tych dniach tańczyła boso. Bardzo było miło! Sfera kobiety... sztuka, piękno, kobiecość.

— A mojem zdaniem, to ona wcale nie pięk-

na. Do czego to to! Nogi grube a skacze po prostu jak kozioł.

— Mnie się podobała. Oświadczył milutki, łysy człowiek. To taniec przyszłości, zapoczątkowujący nową erę w sztuce.

— Filizaneczkę herbaty! zaproponowała gospodyni Andromachskiemu. Może pan sobie życzy kieliszeczek koniaczku?

— *Merci*. Wogóle to ja nie pijam. Napitki spirytusowe są szkodliwe.

Głos z kąta:

— Jeżeli się używa spirytualiów w dużych ilościach, to są szkodliwe. Ale od czasu do czasu wypić kieliszek, to nie może być szkodliwym!

— Nie należy niczego nadużywać — rzekła gruba dama.

— Bezwątpienia. Wszystko powinno być w miarę — zgodliwie dopowiedział Lapisow.

Andromachski wstał, westchnął i rzekł usprawiedliwiająco:

— Bądź co bądź, muszę spieszyć. Pozwoli pani Maryo Ignatiewno pożegnać się.

Twarz gospodyni przeciągła się.

— Już. Posiedziałby pan jeszcze!

— Doprawdy, nie mogę.

— Ale z minutkę...

— Żałuję bardzo, ale nie mogę!...

— Jakież pan doprawdy niepoczciwy... Do widzenia, a proszę nie zapominać o nas! Bardzo będziemy radzi z mężem widzieć pana.

Uprzejmy, lekko usprawiedliwiający się uśmiezek błąkał się na twarzy Andromachskiego do chwili wyjścia do przedpokoju. Gdy noga jego przestąpiła próg, twarz przybrała wyraz złości, znudzenia i pasyi. Ubrał się i wyszedł.

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, Andromachski przystanął na ciemnym podeście schodów i nasłuchiwał. Wyraźnie dochodziły go głosy: Jego przyjaciela Lapisowa, grubej damy i madame Pylinkiny.

— Ki dyabli?

Obejrzał się. Nad głową jego rysowało się blade oświecone wąskie okienko górne, wychodzące widocznie z salonu Pylinkinych. Słychać było każde słowo tak dokładnie, że Andromachski odróżnił wyraźnie swoje nazwisko; więc oparł się o poręcz i słuchał...

— Gdzie on się tak spieszy? — pytał głos grubej damy.

-- Do żony — odpowiedział głos Lapisowa. Madame Pylinkina zaśmiała się.

— Do żony! Z której strony?!

— Co pani mówi? — zdziwiła się gruba dama. — To on taki?!

— On?! -- odezwał się głos pana z gęstymi brwiami. — Jabym go uważał za najzacniejszego człowieka, gdyby zdradzał żonę tylko dla kochanki. Ale on zdradza kochankę dla pokojówki, pokojówkę dla szwaczki, szyjącej u jego żony i tak dalej! To państwo tego nie wiecie?

— Na jego usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że ma jedno stałe przywiązanie, — odezwał się łysy staruszek.

— Do kogo?

— Nie do kogo, ale do czego... Do piwa! Wypija około dwunastu butelek dziennie!

Wszyscy się roześmiali.

— A pan dokąd? — Dał się usłyszeć głos gospodyni.

— I tak się już zasiedziałem — odpowiedział głos Lapisowa. — Muszę spieszyć.

— Posiedź pan jeszcze! Z minutkę! Niedobry! Niedobry! Do widzenia. A nie zapominaj pan naszego szalasu.

* * *

Gdy Lapisow wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi, ujrzał opartego o poręcz Andromachskiego i ledwie powstrzymał okrzyk zdziwienia.

— Tsee! — szepnął Andromachski, wskazując na okno. — Posłuchaj! To bardzo ciekawe!...

— Jaki ten Lapisow sympatyczny — mówiła gospodyni. — Nie prawdaż?

— Bardzo miły, — odpowiedział pan o gęstych brwiach. — Tylko że miał dzisiaj minę fatalną.

— Nieprzyjemności życia! — dał się słyszeć współczujący głos grubej damy.

— Czy rodzinne?

— Nie! Służbowe. Wszystkiemu winna ta gra przekłeta!

— Jakto? Czyżby?

— A tak. Chodzą o nim przerażające wieści. Dostaje miesięcznie dwieście rubli, a przegrywa w klubie na wieczór po tysiąc. Musieliście pań-

stwo zauważyć, jak się zmienił na twarzy, kiedy wspomniała o kasyerze, który roztrwonił pieniądze i uciekł do Anglii.

— Przekłęta baba! — szepnął przerażony Lapisów. — Co ona wygaduje!

— Pyszne okienko! — uśmiechnął się Andromachski.

— A pan dokąd?! Posiedziałyby pan jeszcze!

— Nie mogę! Już późno, — dał się słyszeć głos łysego jegomościa. — Ja się kładę, uwazacie państwo, wcześniej!

— Jakże nam przykro! Rzeczywiście!

* * *

Na podest schodów wyszedł łysy pan, zwinęty w futro i przestraszony aż odskoczył, zobaczywszy Lapisowa i Andromachskiego.

Andromachski dał mu znak, wskazał na okno i w dwóch słowach wyjaśnił mu przyczynę zajętej przez nich pozycyi.

— Zaraz będzie o panu. Słuchaj pan!

— Ja dotąd nigdy nie spotykałam u państwa tego jegomościa, — odezwał się głos grubej damy. — Kto to jest?

— To szczególna historia — odpowiedziała

pani domu. — Ja się dziwię wogóle... Przedstawiono mi go w teatrze, a ja dotąd nie wiem, co on za jeden. Poznał go z nami Deriabin. Mówię ja Deriabinowi podczas rozmowy: „Dlaczego to pan nie był u nas w przeszły czwartek?“ A ten łysy odzywa się: „To u państwa czwartki? Dziękuję, będę!“ Nikt go nie prosił, ja ani wspomniałam. Straszliwie niektórzy ludzie gruboskórni i napastliwi! Wypadało z uprzejmym uśmiechem powiedzieć: „I owszem, będę rada“.

— Ach ty szelmo! — wyszeptał oburzony łysy staruch. — Gdybym był wiedział, nigdy bym nie był do ciebie przychodził.

— Zapewne panu wiadomo, młody człowieku, — zwrócił się do Andromachskiego, — że ta chuda wydra ma najściślejszy stosunek z tym samym Deriabinem, który nas zapoznał! Jak mi Bóg miły! Sam Deriabin mi się przyznał. To można pęknać ze śmiechu!

— A dlaczego pan tam w salonie zełgał, że ja po dwadzieścia butelek piwa wypijam przez dzień? — surowo zapytał starego Andromachski.

— Takeś mi się pan spodobał, młody człowieku — usprawiedliwiająco uśmiechnął się

stary, — że kiedy o panu mówiono, pomyślałem sobie: „Wtrącę i ja słóweczko o nim!“

— Bądź pan łaskaw i nie wtrącaj pan nigdy o mnie słóweczek ! — O czym oni tam teraz mówią?

— Znowu o mnie, — rzekł Lapisow. — Gruba dama wyraża obawę, że ja dziś lub jutro ucieknę z rządowemi pieniędzmi.

— Przekłeta baba! — zamruczał Andromachski. — Żebyście ją lepiej znali... Urządza dobrotoczne wieczorki i kradnie z nich dochód! Jedną swoją córkę poprostu sprzedała sybirskiemu kopaczowi złota!

— Ha! Ha! — złośliwie zaśmiał się stary. — A czyście zauważyli tego kretynowatego męża pani domu, co siedział w kącie?

— A jakże! — uśmiechnął się Andromachski. — On wypowiedział całą seryę bardzo cennych aforyzmów, jak np: że w gazetach nie ma nic interesującego, że mężczyźni i kobiety bywają i źli i dobrzy i że pić spirytualiów dużo — źle, a mało — można...

Stary, Lapisow i Andromachski usiedli na ostatnim schodzie podestu i Andromachski ciągnął dalej:

— A taki jest głupi, że nie zauważył, jak stara Pylinkina kilkakrotnie porozumiewała się na migi z tym grubobrwistym młodzieńcem. Widocznie sprawka z najnowszym lowelasem na tapecie!

— He! He! — cichutko zaśmiał się Lapisow. A czy pan, stary panie, wie, jaki się Andromachskiemu udał kalembur na tę Mesalinę? Powiedział, że ona nie zmienia tak kochanków jak rękawiczki tylko dlatego, że rękawiczek nie zmienia nigdy.

Lysy stary pan roześmiał się.

— Zauważyliście, że u nich herbatę czuć myszami! Że ich też nie wstyd!

* * *

Gdy pani domu, Pylinkina, wyprowadzając grubą damę, usłyszała głosy na schodach i wyjrzała z przedpokoju, ujrzała ze zdumieniem całe towarzystwo, rozsiadłe na schodach...

— Jestem najmocniej przekonany — mówił zaciętrzewiony rozmową Lapisow, — że ta głupia Pylinkina nie tylko nie czytała Wedekinda, ale prawdopodobnie bierze go za Rede-

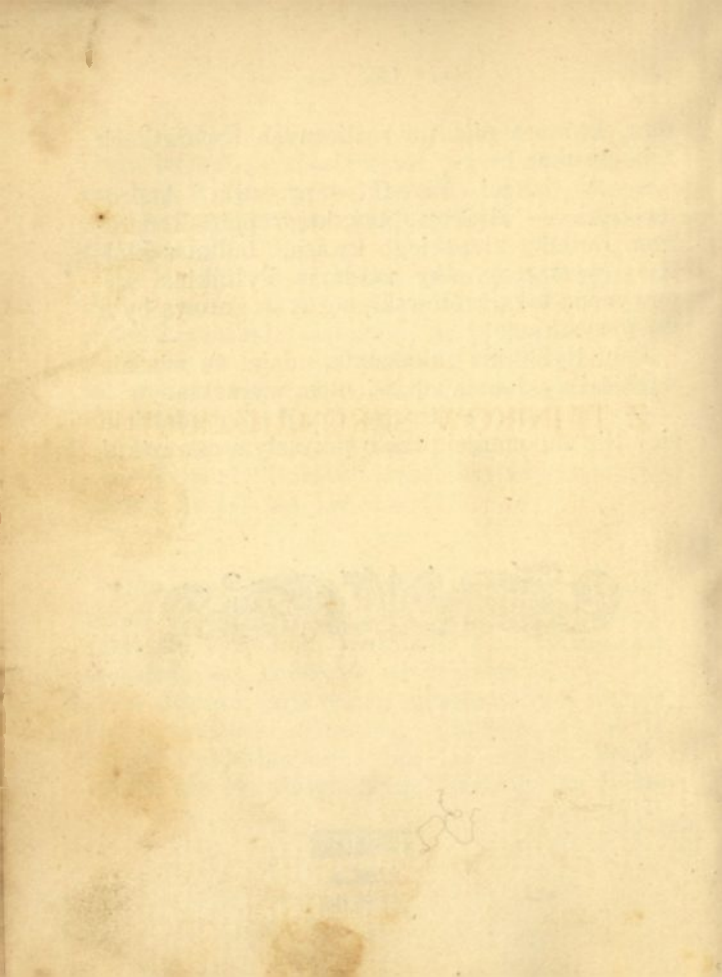
rera, którego pija po rozlicznych separatkach z kochankami.

— A jakże! Zaraz! — przerwał Andromachski. — Mieliby też kogo poić Rederem. Butelka kiepskiego kwasu, bułka z kiełbasą wystarczy, aby madame Pylinkina, zachwycona taką królewską ucztą — gotową była do wszystkiego!

Pani Pylinkina zakaszłała, udała, że właśnie wyszła i z udaniem zdziwieniem wyrzekła:

— To państwo jeszcze tutaj! Zagadaliście się? Nie zapomnijcie też o przyszłym czwartku!





Z TAJNIKÓW SERC LUDZKICH.



I.

Mój sąsiad hotelowy, p. Bakałagin, złożył mi swą pierwszą wizytę z następującego, bardzo dziwnego powodu:

Przyszedł i rzekł:

— Wszyscy powinniśmy popierać się nawzajem i wyręczać się. Bez tego świat dawnoby się rozpadł. Czyż nie tak?

— Naturalnie, — potwierdziłem zachęcająco. — Ale ku czemu pan zmierza?

— Zaraz. Czy pan słyszał wczoraj w nocy przez ścianę, kiedy ja wróciłem?

— Wczoraj? Nie, nie słyszałem.

— Aha! Więc pan spałeś.

— Nie, nie spałem.

— Więc, dlaczego pan nie słyszał? Przecież ściana cieniuteńka.

UMCS
LIBRARY
L. 4. IN

— Dlaczego? A dlatego, żeś pan wczoraj wcale do domu nie wrócił!

— No tak... — wyksztusił z wyrazem zawodowego hulaki. — Przypuśmy, że to było dziś o świcie. Jednakże, spodziewam się, że pan nie zechce z tego powodu podkopać się podemie, jak również sprawić cierpienia jeszcze jednej istocie.

— W zasadzie, rzecz prosta, nie chciałbym tego zrobić.

— A zatem — mrugając czerwonymi powiekami, zwrócił się nieśmiało do mnie Bakałagin — bardzobym pana prosił, abyś pan w jakibądź sposób nie wygadał się o tem przed Agnieszką Czuprunienko.

— Paradne!... Ależ ja nawet nie wiem, kto jest ta Agnieszka!

— Jak to? Pan nie wie? Nie, to niemożliwe! Ależ ona jest pańską sąsiadką z prawej strony! Tu właśnie mieszka. Ta Agnieszka Czuprunienko.

— Doprawdy? Nie przypuszczałem, nigdy nie przypuszczałem.... Zresztą, bądź pan spokojny, gdybym nawet zapoznał się — to i tak nie zdradziłbym pana.

— No! Pamiętaj pan!

Usiadł na krawędzi krzeselka — zwiędły, chorowity, raz wraz kręcąc małą głową na długi szyi, niby rozdrażniona żmija.

Posiedziawszy trochę, przypomniał sobie, jak się zdaje, że nie wypada absorbować bliźniego swego sprawami swemi, nie wykazawszy równocześnie zainteresowania się jego sprawami:

Przeto obrzuciwszy mnie wzrokiem, zauważył:

— A paneś nieco niższy odemnie... wzrostem.

— Bez wątpienia.

— Kobiety lubią wysokich.

— Tak, tak...

— Jak pan powiada?

— Mówię, że tak. Racya.

— Otóż to, właśnie. I pytam się, co ona takiego we mnie znalazła? — Dalibóg nie wiem! Ani urodą, ani rozumem nie wyróżniam się. Talentów żadnych, jako żywo, też nie mam, a tymczasem — patrzaj pan! Przyznam się panu, że nie bardzo nawet jestem rad z tego....

— Z tej Agnieszki Czuprunienko?

— Tak, tak... Miłość — dobra to rzecz, tylko, wie pan, zbyt pęta nam ona ręce i nogi...

Uśmiechnęła się w zamyśleniu blademi, szerokiemi ustami i rzekł:

— A tu ci jeszcze powiadają, że kobieta — jest koroną przyrody!

Jego długa, męczeńska twarz i znużone oczy dały mi pretekst do zakończenia tej sentencji:

— Kobieta — cierniowa korona przyrody.

— O, tak! Cudownie, cudownie pan mówi...

Poczem, zrobiwszy jeszcze kilka charakterystycznych uwag o kobietach — wyszedł.

II.

Z Agnieszką Czuprunienko zapoznałem się w korytarzu przy aparacie telefonicznym, który, dodajmy, opanowała conajmniej na czterdzieści minut.

W oczekiwaniu swej kolejki przechadzałem się nerwowo po korytarzu, gdy naraz usłyszałem koło siebie jęk.

To jęczała Agnieszka.

— Ach! Pan... tu?! A więc pan wszystko słyszał, co ja mówiłam?...

— Skąd pani to przyszło do głowy?

— Mój miły panie, mój kochany! Pan ma taką sympatyczną twarz! Błagam pana — ani słowa przed Bakałaginem! Wiem, pan jesteś jego dobrym znajomym, on mi tak wiele mówił o panu... Powinieneś pan być gentlemanem.

Agnieszka — była to ruda panna, niedużego wzrostu i beznadziejnej urody. Jej błaganie, wypowiedziane głosem wielce przejmującym — oszołomiło mnie.

To też, nie spiesząc się, przedstawiłem się jej, podałem rękę i zapytałem:

— Skąd pani przyszło do głowy, że ja będę donosił Bakałaginowi o rozmowach pani przez telefon?

— Ach, ja już wszystkiego się boję! Ten człowiek zdolny jest nadać gwałtowny odcień rzeczom najbardziej najprostszym w świecie! Natychmiast zaczyna rwać i ciskać.

— Kogo — spytałem, myśląc zupełnie o czem innym.

— Co się trafi. Mężczyzna, wogóle, jest to kara, a mężczyzna zakochany i zazdrosny — jest to potrójny dopust. Zajdź pan do mnie na szklankę herbaty. Chciałabym z panem o tem poważnie pomówić.

Agnieszka wciągnęła mnie do swego pokoju, popchnęła na jakąś kanapę i schwyciwszy się rękami za głowę, oświadczyła:

— Tak dalek żyć niepodobna.

— Uspokój się pani. Czy co się stało?

— Toż ja mogę zmysły postradać! O, te oczy płomienne, te sceny z powodu zbliżenia się do mnie mężczyzny — któż zniesie taką mękę?

— Czy on aż tak panią kocha?

— Kocha? On nie kocha, lecz po prostu waryuje dla mnie! Na Boga, nie mów pan, żeś był u mnie, bo gołów Bóg wie jaką awanturę urządzić z tego powodu....

— Co do mnie, to myślę, że bądź co bądź taki stosunek jest dla pani mocno krępującym. Czy nie lepiejby było wobec tego przenieść się na inne mieszkanie?

Uśmiechnęła się uśmiechem przytłaczającym duszę.

— I po co?... Czy może po to, aby zaraz jutro zamieszkał naprzeciwko, jeszcze bardziej wściekły, jeszcze bardziej podejrzliwy i zazdrośny? Już pan odchodzi? No, adieu. A zatem, na Boga — ani słówka o swej wizycie!

III.

Wieczorem przyszedł do mnie Bakałagin.

Wąsy miał na dół zwieszzone, a w kącikach ust jego zaczęła się — troska. I znowu, długi, z maleńką główką na niespokojnej szyi, przypomniał mi zaniepokojoną, rozbudzoną zmiję.

— Czy wyszła? — wyszeptał, wskazując palcem na prawą ścianę.

— Wyszła. Bo co?

Runął na kanapę, jak skoszony burzą słup telegraficzny.

— Nie, tak dłużej żyć niepodobna! Toż ona mnie do grobu wpędzi!

— Kto?

— Agnieszka. Dziś urządziła mi atak histeryczny za to, że wczoraj byłem na familijnym obiedzie u pewnej pani. Pomyśl pan: jaka zbrodnia! I siedzę teraz i myślę: cóżem ja za człowiek, że aż tak dalece szaleje za mną?! Ani urodą specjalną nie wyróżniam się, ani talen...

— A panbyś wyjechał stąd, albo co.

— Wyjechać?! Dziecinne przypuszczenie! W Odessie, w Helsingforsie, na dnie morza, na-

wet pod obłokami ona mnie odnajdzie. I wtedy jeszcze gorsze dla mnie czasy przyjdą.

— Ależ, pozwól pan... A zatem pan ją kochasz?

— Co też panu do głowy przyszło! — wrzasnął Bakałagin, rzuciwszy ramionami tak energicznie, że zdawało się, iż wleżą mu na uszy. — Kochać można kobietę normalną, ale chyba nie tę zwaryowaną histeryczkę, która za jedno spojrzenie na obcą kobietę — może mi przegryść gardło.

— A pan przecież jesteś o nią zazdrosny?

— Co, ja? Śmieszny z pana człowiek.

— No, wie pan — odparłem rozdrażniony. — Wobec tego zmuszony jestem wyznać panu, że ona zaciągnęła mnie dziś do siebie i skarżyła się na pana, że ją pan torturujesz swoją zazdrością.

— Cha — cha — cha! — zatrząśł się od śmiechu ten zwiędły amant. — Ja... jestem... o nią... zazdrosny!... No, wie pan, ja myślałem, że pan uważasz mnie za mądrzejszego!

— Niedość tego, błagała mnie, abym nie mówił panu o tem. „On — mówiła — Bóg wie co jeszcze może sobie uroić...”

— Ja sobie jedno tylko mogę „uroić“ — pokiwiał głową Bakałagin — a mianowicie, że ona jest: głupia.

— A zatem: pan jej wcale nie kocha?

— No... wie pan! Chyba pan ją raczej kochasz...

— To dlaczego się pan z nią nie rozejdziesz?

— Rozejść się? No, a chodzić z wypalonymi oczami albo z zeszpeconą twarzą — to może przyjemnie? Czy tak może mam się rozejść? Nie, na kogo już Pan Bóg rzucił klątwę — ten musi dźwigać swój krzyż do kresu dni swoich.

— Wie pan co, a możebym tak ja z nią pomówił, jako trzecia osoba?

— Nie radzę. Historye pocznie wyprawiać. Dziś, kiedym u niej pił herbatę — jak nie wrzasnie na mnie za jakąś tam uwagę o jej przyjaciółce, żem aż szklanekę na podłogę upuścił... Co tam, zresztą, mówić: nieszczęśliwy człowiek jestem... Żegnam pana.

IV.

Życie w pokojach umeblowanych jest liberalne. Przeto nie zdziwiłem się wcale, kiedy na-

zajutrz rano weszła do mnie, bez opowiedzenia się, pani Agnieszka.

Powiedziawszy „dzień dobry“, spytała:

— Poszedł już?

— Kto?

— A ten potwór przeklęty! Że też Pan Bóg stworzył taką poczwarę...

Wzruszyłem ramionami. Agnieszka siedziała zasepiona, aż po brzegi duszy pełna żalu. Wreszcie wyszeptała:

— Trudno, to przecież chory człowiek. Wczoraj talerze począł tłuc. Szklankę z herbatą rozbił. Znalazł, wie pan, u mnie fotografię mego ojca, więc zrobił mi straszną awanturę... „To — powiada — pewno twój kochanek...“ Ő, Boże! — myślę sobie — uczynić to, aby go choć tramwaj przejechał, albo go do więzienia wsadzono!

— A wie pani, on mówił, że... pani go szalenie kocha.

— Ja? Ja kocham? Kogo? -

— No, jego. Bakałagina...

— Pocałuj pan w nos, swego Bakałagina...

— Nie jestem przyzwyczajony do robienia bezcelowych zamachów — odparłem.

— Ach, żeby choć na miesiąc. Żeby choć na tydzień! Żeby choć na dzień jeden — niechby go wsadzili — bylebym ja uzyskała spokój. A tu jak na złość: skoro świt zaraz pod drzwi moje przyłazi, wali łapą w klamkę, i drze się: „Agnieszka, czy pani w domu? — O, gdyby pan wiedział, jak mi się nieraz chce mu powiedzieć: „Wynoś się do czarta, dryblasie przeklęty! Mam teraz innego mężczyznę, którego kocham!...“

— Więc powiedz mu to pani kiedykolwiek. — Spróbuj pani.

Ta ruszyła ramionami:

— Czy może chce pan być świadkiem w sądzie?

— A to dlaczego?

— Zabije! Wywali drzwi i zabije mnie...

Ścisnąłem usta i odparłem oschle:

— A wie pani, on mówił, że wcale pani nie kocha.

Uśmiechnęła się.

— Jeszczeby też! On zawsze tak powie. Ale, niestety, tylko w rozmowie z obcymi...

-- I mówił jeszcze, że wprost cierpieć pani nie może. „Ona — mówił — czepia się mnie

u szyi i w żaden sposób nie mogę się od niej odczepić“.

— Ależ, naturalnie... Wstyd mu jest przyznać się, że się kocha we mnie jak stary osioł, że dla byle głupstwa gotów na mur wleść — otóż i stara się w każdego co innego wmówić. Marne, jak pan widzi, indywiduum!

V.

Była to poważna, ciężka, zastarzała choroba. Wiem, że niektóre poważne choroby wymagają poważnej, niekiedy męczącej operacyi. W danym razie operacyę możnaby zrobić ot, taką:

Zawezwać do siebie lokatora — dryblasa Bakałagina, oraz beznadziejnej urody dziewczynę, lokatorkę Agnieszkę Czuprunienko... Usadzić ich, siąść samemu, poczem, nie spiesząc się, najobojętniej w świecie, rzec:

— Szanowni państwo! Jednem cięciem noża mogę usunąć wasze cierpienia. Pozwólcie mi tylko powtórzyć ze stenograficzną ścisłością te słowa i zwroty, których każde z was użyło pod adresem drugiej osoby. Agnieszka zapewnia, że Bakałagin dokuczył jej do ostatecz-

ności, zaś Bakałagin zapewnia, że Agnieszka jest głupią histeryczką, która uczepiła się go, jak pijawka. Na moją radę: wyjechać — Agnieszka odparła: „Jabym pojechała, ale on natychmiast zacznie mnie ścigać, odszuka mnie i jeszcze bardziej będzie się znęcać nademną“. Na moją radę: wyjechać — Bakałagin, ze swej strony oświadczył, że onby to zrobił z rozkoszą, ale „ta głupia baba, jak suczka pobiegnie za nim i odnajdzie go, czy to w Odessie, czy w Helsingforsie, czy to nawet na dnie morskiem...“ Proszę państwa! Teraz to wszystko wiecie jedno o drugim. Pomówcież więc ze sobą przy mnie, porozumcie się — i niech każde jedzie w swoją stronę. Po cóż macie, nieszczęśni ludzie, ciągnąć tak dalej tę haniebną, głupią taczkę wspólnego pożycia, błędzić po omacku i zatruwać nawzajem życie sobie, a głównie mnie, mnie... któremuście śmiertelnie dokuczyci. No, ein, zwei, drei, i — po wszystkim.

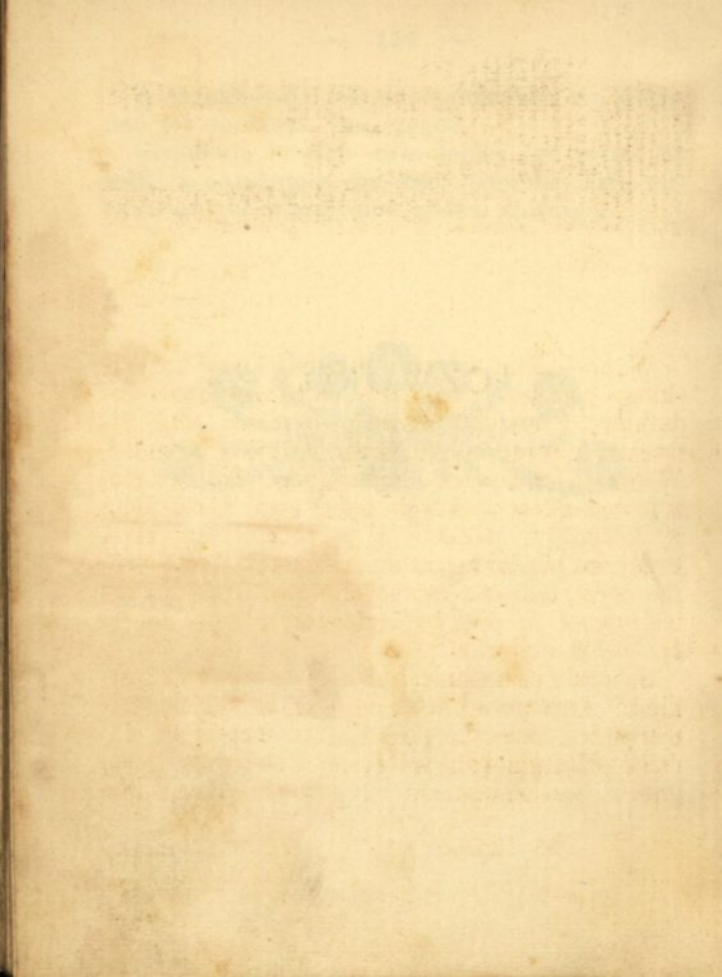
Oto jedyna operacya, która wprost napraszała się w tym wypadku.

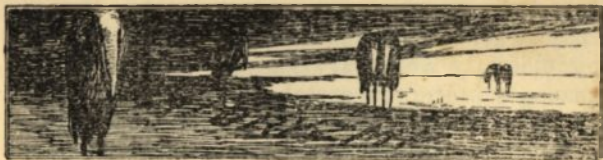
A jednakowoż, nie zdecydowałem się doko-
nać tej operacyi. Dla czego?

Rozumuję bowiem tak: lepiej żyć przez lat
kilka z odrażającą, męczącą chorobą, niżli od-
razu umrzeć z ulgą pod nożem chirurga....



CZWORO.





I.

W przedziale wagonu drugiej klasy kuryerskiego pociągu jechało trzy osoby: urzędnik podatkowy Czetwiororukow, jego młoda żona Simoczka i reprezentant firmy Ewans i Krumbel, Wasyl Abramowicz Sandomirski. Na jednym z przystanków wsiadł do tegoż kupe nieznajomy w kosmatym paltocie i podróżnej czapeczce. Przyjrzał się dokumentnie małżonkom Czetwiororukowym, taksamo reprezentantowi firmy Ewans i Krumbel, poczem wyciągnąwszy gazetę, pogrążył się w czytaniu.

Specjalna podróżnicza nuda zawisła nad wszystkimi... Czetwiororukow obracał w rękach papierosnicę, Simoczka postukiwała obcasami i wodziła roztargnionym wzrokiem z obojętnej fizjonomii Sandomirskiego na nowoprzybyłego nie-

znajomego, a Sandomirski po raz już bodaj czy nie dziesiąty wertował szkaradną humorystyczną gazetę, w której przeczytał wszystko doszczętnie, aż do nazwiska drukarza i cen prenumeraty.

— Mamy jeszcze pięć godzin jazdy — przemówiła Simoczka, słodko ziewając. — Pięć godzin strasznych nudów!

— Jazda koleją jest szablonowa i dlatego męczy pasażerów — pouczająco odezwał się mąż.

A Sandomirski rzekł:

— Do tego koleje nieznośnie drogie, byle bilet zaraz dwanaście rubli. — A przeglądnąwszy jeszcze raz swoją humorystyczną gazetę, dodał: — Nie mówiąc już nic o plackarcie!

— Najgorsze, to ta nuda! — stuknęła obcasami Simoczka.

Siedzący pierwszy od drzwi nieznamy złożył gazetę, obrzucił znowu całą kompanię szczególnym wzrokiem i roześmiał się.

A śmiech jego był dziwny, nienaturalny, przytłumiony, słowa zaś, które następnie wypowiedział, niewymownie zdziwiły resztę podróżnych.

— Państwu nudno? Ja wiem, skąd się bierze nuda... Oto stąd, żeście wszyscy nie ci, których udajecie, a to jest okropnie nudne.

— Jak że to — my nie ci? — oburzył się Sandomirski. — My jesteśmy — sobą. Ja jako człowiek inteligentny...

Nieznajomy roześmiał się i rzekł:

— My wszyscy nie jesteśmy tymi, których udajemy. Ot, pan na przykład. Któż pan jesteś?

— Ja? — zmarszczył czoło Sandomirski. — Ja jestem reprezentantem firmy Ewans i Krumbel, sukno, trykot i barchany.

— Ha! ha, ha, ha! — zaniósł się od śmiechu nieznajomy. — Wiedziałem przecież, że pan wymyśliłeś coś najnieprawdopodobniejszego! No i po co to okłamywać siebie i drugich? Przecież pan jesteś kardynałem przy dworze papieża w Watykanie i umyślnie się pan podszywasz pod osobę jakiegoś Krumbela!

— Watykan? — wyjęknął przestraszony i zdziwiony Sandomirski. — Ja, Watykan?

— Nie Watykan, ale kardynał! Nie udawaj pan głupiego. Ja wiem, żeś pan jest jedną z najrozumniejszych i najbystrzejszych osobistości obecnych czasów! Coś nie coś słyszałem o pańskich sprawkach!

— Wybacz pan — odpowiedział na to Sandomirski — ale wypraszam sobie takie żarty.

II.

— Dżozeppo! — poważnie zawarczał nieznajomy, kładąc obie ręce na ramiona przedstawiciela firmy Ewans i Krumbel. Nie omamisz ty mnie! Zamiast głupich zaprzeczeń wolałbym usłyszeć od ciebie co nieco o Watykanie, o tamtejszych urządzeniach, o twoich podbojach pośród nabożnych Włozek...

— Puść mnie pan — z przerażeniem krzyczał Sandomirski. — Co to ma znaczyć?

— Tsss! — uspokajał nieznajomy komiwojżera, zatykając mu usta dłonią. — Nie trzeba krzyczeć. Mamy przecież damę w towarzystwie. — Siadł na swoje miejsce przy drzwiach, potem włożył rękę do kieszeni, wyciągnął rewolwer i skierował go na Sandomirskiego.

— Dżozeppo! Ja jestem strasznie dobry człowiek, ale jak przy mnie siedzi udawacz, to tego nie znoszę!

Simoczka krzyknęła i zasunęła się w sam kąt wagonu. Czetwiororukow poruszył się na siedzeniu, chcąc powstać, ale stanowczy gest nieznajomego przygwoździł go do miejsca.

— Szanowni państwo! — przemówił niezna-

jomy — ja państwu nic złego nie zrobię. Bądźcie spokojni. Ja tylko żądam od tego człowieka, aby się przyznał, kim on jest!?

— Ja jestem Sandomirski! — wyszeptał zbladłymi wargami komiwojażer.

— Łżesz Dżozepo! Ty jesteś kardynał!

Lufa rewolweru patrzyła na Sandomirskiego jednym czarnem okiem.

Czterworukow z przestachem spojrział na nieznanego i szepnął do Sandomirskiego:

— Widzisz pan, z kim pan masz do czynienia... Powiedz pan, żeś kardynał. Cóż to panu szkodzi?

— Ależ ja nie jestem kardynałem!! — przerażony wyszeptał Sandomirski.

— On się żenuje powiedzieć panu, że jest kardynałem — z wyszukanem ugrzecznieniem zwrócił się do nieznanego Czterworukow. — Ale on rzeczywiście jest kardynałem.

— Nie prawda więc?! — podchwycił nieznanomy. — Nie uważa pan, że w jego twarzy jest coś kardynalnego?

— Jest! Jest! — z całą gotowością przyznał Czterworukow. — Ale — czyż to warto tak się tem wzruszać?

— Niech on nam sam to powie! — z grymaśnym uporem odparł pasażer, bawiąc się rewolwerem.

— No, już dobrze! Dobrze! — zawrzeszczał Sandomirski. — Zgoda! Jestem kardynałem!

III.

— A widzicie! — rzekł z uroczystą miną nieznajomy. — Nie mówiłem wam?! Wszyscy ludzie nie są tem, czem się być zdają. Pobłogosław mnie, Eminencyo!

Komiwojażer niezdecydowanie poruszył rękami, wyciągnął je i potrząsł nad głową nieznajomego. Simoczka wybuchnęła śmiechem.

— Jest się też z czego śmiać? — obraził się Sandomirski. — Pozwól mi pan wyjść na chwilę.

— Nie, nie puszczę pana — odpowiedział pasażer. — Ja sobie życzę, byś nam pan opowiedział jaką zabawną przygodę z którą ze swoich zwolenniczek.

— Jakich zwolenniczek? Co ja mogłem mieć za przygody...

Spojrzawszy na rewolwer, komiwojażer zniżył głos i głucho rzekł:

— No, były tam przygody, o których nie warto opowiadać...

— Mów pan! — gwałtownie krzyknął nieznajomy.

— Schowaj pan rewolwer, to opowiem. No, ale cóż tu opowiedzieć... Raz się zakochała we mnie jedna włoska dama...

— Hrabina? — pytał pasażer.

— No, tak, hrabina. Mówi mi: Wasia, ja cię kocham; strasznie cię kocham. Pocałowaliśmy się.

— Nie, nie tak. Mów pan ze szczegółami. Gdzieście się po raz pierwszy spotkali i jak się to uczucie w was zrodziło?

Reprezentant firmy Ewans i Krumbel zmarszczył czoło i spojrzawszy z boleścią na Czetwiororukowa, mówił dalej:

— Ona była na balu. Taką miała białą suknię, ubraną różami. Poznał nas ze sobą któryś z ambasadorów. Ja do niej mówię: „Oj! pani hrabino, jakaś pani jest prześli...!”

— Co pan bajesz! — przerwał mu gwałtownie pasażer. — Czyż wam, duchownym, wolno się włóczyć po balach?

— Ale! Co to mi tam za bal taki! Mały domowy wieczorek. Ona mi mówi: Dżozeppe!

Ja nieszczęsna... Ja bym się chciała panu zwierzyć...

— Wypowiadać! — poprawił nieznajomy.

— Tak. Wypowiadać. Dobrze, mówię jej, przyjedź pani. I ona przyjechała i powiada: Dżozeppe! Daruj, ale ja cię kocham!

— Strasznie głupi romans! — bezceremonialnie zawyrokował nieznajomy.

Współjadący wysłuchali go bez najmniejszego zainteresowania się.

— Jeżeli papież samych takich ma kardynałów, to mu nie zazdroszczę! — zakończył.

IV.

Łaskawie spojrzął na Czetwiororukowa i łagodnie rzekł:

— Ja pojąć nie mogę, jak pan możesz pozwolić swojej żonie tak się nudzić, mając taki dar!?

— Ja-a-ki ddar?

— Boże! No, głos przecież! Ależ to z pana polityk! Pan sądzi, że wobec wiszącej koło pana czapki mundurowej, to już nikt nie pozna, że pan jesteś znakomitym barytonem, który takie laury zbierał w stolicach?

— Omylił się pan — z przymuszonym uśmie-
szkiem odpowiedział Czetwiororukow. — Ja je-
stem urzędnik podatkowy Czetwiororukow, a to
moja żona Simoczka.

— Kardynale! — krzyknął nieznajomy, zwraca-
jąc lufę rewolweru na urzędnika. — Jak są-
dzisz, kto on jest, urzędnik czy znakomity ba-
ryton?

Sandomirski złośliwie spojrział na Czetwiero-
rukowa i wzruszywszy ramionami rzekł:

— Z pewnością, baryton!

— Widzicie! Przez usta kardynałów wycho-
dzi prawda. Zaśpiewaj pan co, maestro! Ja pana
błagam!

— Ja nie umiem! — pokornie wyjęknął Cze-
twiororukow. — Zapewniam pana, że mam głos
ohydny, chrypliwy!

— Ah! ha, ha, ha! — śmiał się z całego gar-
dła nieznajomy. — Skromność to, skromność,
właściwa wielkim talentom! Proszę pana, niech
pan śpiewa!

— Zapewniam...

— Śpiewaj pan zaraz u stu dyabłów!

Czetwiororukow zmieszany spojrział na zachmu-

rzoną twarz żony, a włożywszy ręce do kieszeń, grzecznie a fałszywie zaśpiewał:

Na silych głębinach oceanów
Jakby gwiazdy na niebiosach...

Podparłszy ręką głowę nieznamy z uwagą i z zajęciem słuchał śpiewu, od czasu do czasu trzaskając w palce i podśpiewując.

— Dobrze pan śpiewa! Bierze pan ze sześć tysięcy? % pewnością więcej! Wie pan co, że bądź co bądź muzyka przecież łagodzi obyczaje. Nieprawdaż, kardynale?

— O i jeszcze jak! — na pół przytomny odpowiedział Sandomirski.

— Widzicie państwo! Zaledwieście tylko przestali udawać, staliście się sobą, zaraz się nastrój zmienił, a nuda znikła, jakby jej tu nigdy nie było. Prawda, że się wam teraz nie nudzi?

— Gdzie zaś nuda! — westchnął reprezentant firmy Ewans i Krumbel. — Zapustna wesołość!

— Bardzo się cieszę. Uważam, łaskawa pani, że i pani twarz się wypogodziła. Najokropniejsza rzecz w życiu ludzkim, to fałsz i udawanie. To też trzeba tylko śmiało i energicznie

wziąć się do rzeczy, a wszystko, co fałszywe i udane, zniknie. Przecież i pani dotąd uważała pewnie tego pana za komiwojażera, a swojego męża za urzędnika. Uważała może i całe życie... A ja dwoma chwytami zerwałem z nich larwy. Jeden okazał się kardynałem, a drugi barytonem. Nieprawdaż, kardynale?

— Mówisz pan, jak książka — boleśnie odpowiedział Sandomirski.

— A najgorsze, że we wszystkim jest kłamstwo. Ono nas otacza od pieluch, towarzyszy nam na każdym kroku, nosimy je na swej twarzy, na ciele. Ot, pani jesteś ubraną w jasną suknię, w gorset i w buciki z wysokimi obcasami. Ja nienawidzę wszystkiego, co fałszywe, zwodnicze. Łaskawa pani! Ośmielam się najuprzejmiej prosić panią, byś zechciała zdjąć suknię! Ona ukrywa coś najpiękniejszego, co ma przyroda, bo ciało!

Dziwny pasażer elegancko zwrócił rewolwer w kierunku męża Simoczki, a patrząc w nią bezprzestannie mówił dalej grzecznie:

— Bądź pani tak dobrą rozebrać się... Przecież mąż pani nic nie będzie miał przeciw temu?

Mąż Simoczki spojrział mętnym wzrokiem na lufę rewolweru i szcękając zębami odrzekł:

— Ja nic... tego... ten... Sam lubię piękno. Trochę się można rozebrać.

Oczy Simoczki rzuciły błyskawice. Z obrzydzeniem popatrzyła na zbladłego Czetwiororkowa, na milczącego Sandomirskiego, energicznie wstała z kanapki i rzekła, śmiejąc się kurczowo:

— Ja też lubię piękno, a nienawidzę — tchórzostwa! Dla pana się rozbiore! Każ pan tylko pańskiemu kardynałowi, aby się odwrócił!

— Kardynale! — surowo krzyknął nieznamy. — Panu, jako osobie duchownej, nie wolno patrzeć na taką scenę. Zasłoń się pan gazetą!

— Simoczko... — wyszeptał Czetwiororukow — tylko, uważasz, troszkę tego...

— Cicho bądź! Ja bez ciebie wiem!..

Rozwiązała pasek, spuściła spodnicę i nie patrząc na nikogo, poczęła się dalej rozbierać blada i zachmurzona.

Nieprawdąż, że jestem interesująca? — z zawścią rzekła, uśmiechając się kącikami ust. — Jeżeli pan masz może ochotę pocałować mnie, to poproś pan mojego męża o pozwolenie — on z pewnością pozwoli.